

# AS

Nr. 27  
4 LIPCA 1937 ROKU  
CENA 40 GROSZY

PIERWSZY DZIEŃ NA PLAŻY...  
FOT. Dr. P. WOLFF.



110-016722

# KONKURS

## MAGAZynu „AS”

### NA NAJLEPSZĄ NOWELĘ

#### PROTOKÓŁ

#### Z POSIEDZENIA SĄDU KONKURSOWEGO

W dniu 25 czerwca 1937 roku odbyło się posiedzenie Sądu Konkursowego przy pełnym składzie członków. Na wstępie sąd Sna wniosek przewodniczącego kooptował do Sądu Konkursowego redaktora Jarosława Janowskiego, powierzając mu równocześnie funkcje sekretarza Konkursu.

Następnie Sąd zapoznał się z rezultatami dotychczasowych prac członków Sądu. Z nadesłanych na konkurs 463 nowel przedmiotem rozważań na posiedzeniu Sądu było 168 utworów, z czego 161 zostało definitywnie odrzuconych, pozostała zaś liczba przekazana została do dalszych debat.

Spis odrzuconych utworów zamieszczony zostaje na łamach tygodnika „AS”. Autorzy odrzuconych utworów będą mogli je otrzymać bądź za osobistym zgłoszeniem się w redakcji „ASA”, bądź pocztą po uprzednim nadesłaniu znaczków pocztowych w wysokości 50 groszy jako opłatę za przesyłkę zwykłą, bądź też 1 zł. tytułem przesyłki poleconej.

SĄD KONKURSOWY.

### NOWELE, ODRZUCONE PRZEZ SĄD KONKURSOWY

„Moja pierwsza kolacja” (godło: „Mar”), „Konkurs i panna” (godło: „Beroes”), „Zaorane pociski” (godło: „Pocisk”), „As i Asia” (godło: „Same asy”), „Powrót wyzwolony” (godło: „As”), „W Gryon deszcz” (godło: „Cisza”), „O świętym z Wólki Mizernej” (godło: „Sowa”), „Hanka” (godło: „Lzaten”), „Piłka” (godło: „Ujejski”), „Odpowiedź banalna” (godło: „Czerwiec”), „Brama szczęścia” (godło: „Nikodem Mirza”), „Małe skrzydeczki” (godło: „Mewa”), „W nieznanym...” (godło: „Poray”), „Bezimienna i pan z papierosem” (godło: „Zalm”), „Jawa” (godło: „Legun”), „Sen wizja” (godło: „Rom-ron”), „Podcięte skrzydła” (godło: „Seweryn”), „Drogi życia” (godło: „Widz”), „Wojtuś” (godło: „Anoli”), „Narodziny radosnego rzemiosła” (godło: „Dzień”), „Dwie cyganerie” (godło: „Przez oko do pióra”), „Pani Wilka” (godło: „Z Zuzanna”), „Wydarte obrazki” (godło: „Niaton Nar”), „Wspomnienie o Krakowie” (godło: „Smutna młodość”), „List miłosny” (godło: „Smutna młodość”), „Glebae adscripta” (godło: „Ungbusset rostro”), „Legomom dom, cyszarzowi nie dom” (godło: „Dalin”), „Wspaniałe zebranie” (godło: „5-T”), „Ostatnia lekcja” (godło: „Amcien Regime”), „Jej dziecko” (godło: „Hajdluk”), „Marzenie Cyprjana” (godło: „Karuzela”), „Bezdroże” (godło: „Aldous”), „Ojczyzna Jego Matki” (godło: „Orle”), „Klucze” (godło: „Samuraj”), „Gdy jeden zwycięża” (godło: „Nigdy inaczej”), „F. O. N.” (godło: „Krystyna”), „Współcześni” (godło: „Azais”), „Orzeł czy reszka” (godło: „Dawid Copperfield”), „Tragedia starego emerytowanego polonisty” (godło: „Konieczynka”), „W górach” (godło: „T. P. Z.”), „Matka” (godło: „Wista”), „Dziecko” (godło: „Adam Stesmowicz”), „Przygoda Marka Piętki” (godło: „Satyr W. K.”), „Wpływ kolegów” (godło: „Prośba”), „Kto on?” (godło: „Asy”), „Spóźniona miłość” (godło: „Azais”), „Kłótnia” (godło: „Azais”), „Taki obrazek” (godło: „Azais”), „Stracone szczęście” (godło: „Mitras”), „Astry” (godło: „Nid”), „Ambicja wachmistrza Mazgaja” (godło: „Dzems”), „Ostatni list do niego” (godło: „Formoza”), „Szczęście Anny” (godło: „Per aspera ad astra”), „Sowizdrzał” (godło: „Pierś”), „Wierna miłość” (godło: „1936”), „Poniedziałek” (godło: „19-tka”), „Nie byłam ubezpieczona” (godło: „5-ty grube”), „Kochankowie z Lubawki” (godło: „Lena Lechówna”), „Czarodziej-skie skrzydki Malgosi” (godło: „Wiejski chłopak”), „Kiszmet” (godło: „Ultima ratio”), „Testament pana Macieja” (godło: „Gryf”), „Hani” (godło: „Zdzisław Katra-Lechicki”), „Zagadka” (godło: „Babie lato”), „W grocie” (godło: „Eswu”), „Nie było tak!” (godło: „Wasilek”), „Aresztantka transatlantyku” (godło: „Gdynia—Ameryka”), „Zocha” (godło: „Edward”), „Małowane talerze” (godło: „ZMC 1”), „Z pod strzechy” (godło: „Kapryś”), „Ojciec i córka” (godło: „Eremita”), „Bajki z Pelemlu” (godło: „Zasański”), „Kobieta zmienną jest” (godło: „La donna e mobile”), „Dla ciebie” (godło: „Słask”), „Dziecko” (godło: „Hak”), „Jugusta” (godło: „Ulęcznica”), „Zbójca” (godło: „Zmierzech”), „Rezurekcja” (godło: „37”), „Spotkanie” (godło: „Wilija”), „Prywatne życie ludzi sceny” (godło: „Aktorka”), „Narkotyk” (godło: „Ślepowron”), „Lasy wieczne zielone” (godło: „Moje teraz”), „Królowa nocy” (godło:

„Kaktusowiec”), „Baronówna von Krautheim” (godło: „Von Krautheim”), „Bohater” (godło: „Justitia”), „Mauzer 110633” (godło: „Student”), „Kamieniolomy” (godło: „Rellon”), „Najpiękniejsza chwila w życiu Edwarda Ziomki” (godło: „Azais”), „Dziwny dziadek” (godło: „Przeczytajcie od A do Z”), „Babcia Chodorowska” (godło: „Starość nie radość”), „Na dno” (godło: „Helios”), „Realista” (godło: „Szatan”), „O Antku ordynansie i o butach pana majora — zelgana historia” (godło: „Niższe sfery”), „Pomyłka” (godło: „Mitun Wel”), „Podła ziemia” (godło: „7”), „Szczęście z ekranu” (godło: „Promień”), „Pół godziny gimnazjum” (godło: „Hoczkiś”), „Złamana grusza” (godło: „Beata Pfallma, ove non corre tempo!”), „Andrzejk” (godło: „Sław Sulima”), „Wichrowy rej” (godło: „Włóczęga morski”), „Dla ciebie Polsko...” (godło: „Zobaczmy”), „Księżniczka Olali” (godło: „Sfinks”), „Pojedynek po ety” (godło: „Jasieńczyk”), „Zbieg” (godło: „Lechita”), „Zwycięstwo” (godło: „S. E. 1434”), „Nauczyciel” (godło: „RE-NA”), „Przygoda nieboszczyka” (godło: „Lechita”), „Za wolność” (godło: „A. J. S. U.”), „Psiakrew” (godło: „Maska”), „Podpora starości” (godło: „Fatalista”), „Czarne znamie” (godło: „Na górze róże, na dole fiołki...”), „Oni...” (godło: „119”), „Cztery rundy” (godło: „Pourquoi?”), „Nowy „Kopciuszek” (godło: „J. B. S. 21”), „Świat... to absurd!” (godło: „Kropla”), „Smok na Wawelu” (godło: „Ty-tan”), „Świętojański kwiat paproci” (godło: „Wierna rzeka”), „Pan Makary narzeka na czasy” (godło: „Biuralista lat 20”), „Mdlejąca akacja” (godło: „Zielony mosteczek”), „Nagroda” (godło: „Błyskawica”), „W dzisiejszej gazecie... czytamy” (godło: „Jan”), „Codzienne ogłoszenie” (godło: „Prasa”), „Twój powrót...” (godło: „Rteck”), „Tańczące pantofelki” (godło: „Domino”), „Uwodziciel” (godło: „Nina 45”),



Akc W 119/87/C2

Akc W Nr 26 1131 C2

**ASY NUMERU 27-GO:**

**PO SZTORMIE...**

O pracy rybaków naszych wybrzeży i ich przeżyciach na morzu. Str. 4—5.

**MORZE W ŚLĄSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ.**

Tematy morskie, które odnajdujemy w odwiecznych piosenkach ludu śląskiego, sięgają przeważnie dawnych czasów. Str. 6.

**SPLIT — MIASTO PRZESZŁOŚCI.**

Dawna rezydencja cesarza Dioklecjana należy do dziś dnia do najpiękniejszych średnio-wiecznych miast nad Adriatykiem, posiadając bezcenne skarby architektury. Str. 8.

**SYRENA.**

Opowieść marynarska. Str. 12.

**Na północnym szlaku: LAPONJA**

Kartki z notatnika turystki, która przejechała wzdłuż i wszerz oryginalny kraj, zamieszkały przez olbrzymie stada renów i nielicznych Lapończyków. Str. 14—15.

**NA MORZUTONIE CZŁOWIEK!**

Jak pracują kolumny ratownicze, które budzi do akcji tragiczne S. O. S. Str. 16—17.

**POLSCY GLOBTROTTERZY.**

Różnemi szlakami dążyli Polacy w przeszłości zagranicę w poszukiwaniu wiedzy, lub też powodowani względami politycznymi. Str. 18—19.

**Przebój muzyczny „Asa“:**

**W KAŻDYM PORCIE DZIEWCZYNA!**

Slow-fox (fragment z baletu Parnella). Muzyka Zygmunta Wichlera. Str. 22.

**JAKIE BĘDZIEMY NOSIĆ KOSTJUMY KĄPIELOWE?**

Przegląd najnowszej mody plażowej z praktycznymi wskazówkami dla pań, wyjeżdżających na wywczasu nadmorskie. Str. 28—29.

Nowela. — Kącik filatelistyczny. Dział gospodarstwa domowego. — Gimnastyka. — Moda męska. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Humor i rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radiowy.



**NUMER POŚWIĘCONY MORZU I TURYSTYCE**

Fot. „AS“

Wizyta króla Wielkiej Rumunii, Karola II w Polsce, stała się dla rządu, jak też i całego narodu polskiego okazją do zamianowania szczerej przyjaźni, jaką Polska żywi dla swego sąsiada, jak również silnej woli utrzymania ścisłej współpracy politycznej i kulturalnej obu narodów. W swej podróży po Polsce J. K. M. Karol II odwiedził również Biedrusk, gdzie był świadkiem ciekawych ćwiczeń wojskowych, oraz Kraków, gdzie zapoznał się z panteonem naszej chwały — królewskim zamkiem na Wawelu i innymi pamiątkami przeszłości. Na zdjęciu naszym: król Karol II w towarzystwie Pana Prezydenta R. P. oraz następcy tronu, Wielkiego Wojewody ks. Michała i Pana Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza opuszcza dworzec warszawski po przyjeździe do stolicy Polski.

# PO

# SZTORMIE

**P**ogodny i świeży, przejrzysty jak lza, wczesny poranek letni. Tem rozkoszniejszy, że przez siedem dni szalał na morzu gwałtowny sztorm z północy. Rybacy jednak są złej myśli, gdyż wicher ten przyszedł gwałtownie i niespodziewanie. Pomimo, że biuletyn meteorologiczny, przekazywany codziennie przez telefon z Gdyni, zapowiadał wyraźnie, czarne na białym: „pogoda, słabe wiatry południowe, stan morza i zatoki 1 do 2”. Pomimo, że stare ich kości, ten najlepszy barometr, wca-



Nad morzem polskim wschodzi księżyc, wylaniając się z strzępiastych chmur.

Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś-Hallerowo.

Na lewo: Rybacy helscy przy wiązaniu sieci.

Fot. F. Nowicki — Kraków.



jesteśmy należycie otrzaskani, jeżeli nie przez podniebienie i żołądek to przez kuchnię, gdzie bywa ona chętnie przez porywczę gospodynie używana dla określenia niechlujstwa. Właściwie nie wiadomo dlaczego?... Flondra bowiem, zwłaszcza mała, w okresie swego niefrasobliwego dzieciństwa, jest miłą i słiczną rybką, obdarzoną przez naturę barwą ochronną o odcieniu piasku, wśród kórego myszkuje.

Skarpie zaś, to również płaskie jak flondra, ale większe od niej i bardziej pękate sztajnbuty. Ugotowane i polane masłem, są prawdziwym specjałem.

Jakkolwiek wiatr północny nie jest dla sieci najgroźniejszy, gdyż nie powoduje prądu bocznego, to jednak uległy one z pewnością potarganiu i splątaniu, a starsze z nich i słabsze — nawet podarcie. Twardy i surowy jest trud rybaka, moknącego na deszczu, kostniejącego na zimnie wietrze, narażającego życie. Zdarza się przytem, gdy sezon połowów jest burzliwy, że rybak po odliczeniu własnych kosztów ma w zysku... deficyt!

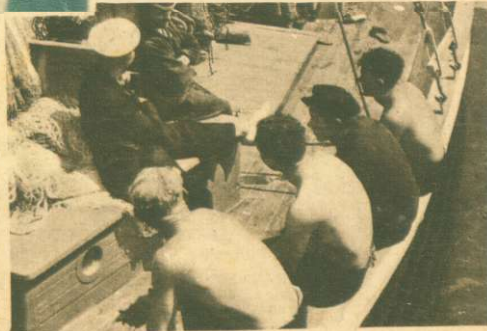
Morze, po którym wściekle rycząc, gonili przez cały tydzień białe barany, odstąpiło wreszcie od wydm. Coprawda fale wzdymają się jeszcze w zielone, jak butelkowe szkło, rulony, jeszcze wiatr zdmuchuje z nich białą pianę. Jednak uspokoiło się do tyła, że rybacy uznali za możliwe przepchnięcie swoich ciężkich łodzi przez przybój przybrzeżny i postanowili wyruszyć.

Na plażę, złotą od promieni wszego niedawno słońca, schodzi z wydm gromada kilkudziesięciu czarnych postaci. Skupiają się u burt jednej z sześciu, kilkadziesiąt centnarów ważących łodzi i pod komendą miarowego, gardłowego okrzyku, który podaje im takt, godnymi, zmechanizowanymi ruchami spychają ją ku morzu. Mają nielada pracę, gdyż wobec nacierających fal musiano w początku ubiegłego tygodnia przepchnąć łodzi aż do wydm. Wieś bowiem nie ma portu i trzeba je każdorazowo wyciągać na piasek. Są też odpowiednio do tego zbudowane Obłym swoim kształtem zdradzają dobrą stocznice. Są szerokie, zanurzają się w wodzie płasko, fale biorą ślizgając się raczej, niż je przecinając. Celem usunięcia dryfu bocznego przy żegludze pod wiatr i w pół wiatru mają oczywiście wbudowaną skrzynkę z ruchomym mieczem. Jednak ich takielunek jest nader prymitywny. Z wyjątkiem bloków z metalowymi kółkami i stalowej linki sztagu, osprzęt to bodaj że taki sam, jakim posługiwali się ich przaszczurowie w czasach, kiedy święty Wojciech przybył tu z Dobrą Nowiną.

Kutrów pełnomorskich, które pozwalają na dalsze połowy, nie miał tu do niedawna nikt. A przecież posiadając taki kuter oraz potrzebne na wszystkie rodzaje ryb sieci może rybak wywalczyć sobie dobrobyt, a gospodarstwu narodowemu przysporzyć poważnych korzyści. Pomimo niewątpliwych postępów w tej dziedzinie, kraj nasz wciąż jeszcze przywozi z zagranicy olbrzymie ilości ryb. Aby zmienić ten szkodliwy dla naszego bilansu handlowego stan rzeczy, należy dostarczyć rybakom możliwie dużej liczby kutrów na

le na zmianę nie darzył! Dość, że zaskoczeni, nie zdążyli wyciągnąć z morza sieci.

Sieci... Owoc żmudnej pracy długich wieczorów zimowych, przemyślnie skombinowany celem wydarcia morzu jaknajwiększej ilości śledzi, makreli, węgorzy czy też częściej spotykanych pomuchli, skarp i storni. Może nie słyszeliście, Czytelnicy, tych nazw?... Tak Kaszubi nazywają ryby, które napewno znacie dobrze, tylko że pod innymi, narzuconymi, niemieckimi imionami. Pomuchle — to cenione na dietetycznym stole dla swojego jędrnego, chudego mięsa, dorsze, a stornie, inaczej starniewkami zwane, to przecież pocziwe, pożywne flondry, z którą to nazwą



Pogawędka marynarska.

Fot. F. Nowicki — Kraków.

wygodne spłaty. Amatorów na nie było narażenie niewielu. Kaszubi byli zawsze i są nadal nieufni wobec narzucanych im nowinek. Ale gdy jednemu i drugiemu śmiałkowi, który taki kuter nabył — zresztą na bardzo przystępnych warunkach kredytowych — połowy polepszyły się znakomicie, gdy nie tylko wypłacił przypadającą na rok bieżący ratę, ale uzupełnił swoje sieci, co z kolei pozwoliło mu na połowy lepszej płaconych ryb, jak łosie — wówczas rybacy zaczęli gremjalnie szturmować Urząd Morski, prosząc o przydzielenie im kutrów. Jednak dużo jest powołanych, ale mało wybranych, bowiem podaż kutrów nie dotrzymuje kroku zapotrzebowaniu. Kuleje zwłaszcza dostawa silników, które podobnie jak i same kutry, wyrabiane są w kraju. W każdym razie stwierdzić wypada z przyjemnością, że sprawa ta, równie ważna dla podniesienia dobrobytu Wybrzeża, jak dla naszego bilansu handlowego, ruszyła już z martwego punktu. Sposób zaś jej ujęcia i realizowania zdradza gruntowną znajomość miejscowych stosunków i trafne przebiegają tam na dwie zmiany, aż drżą w swoich



Na prawo: Port rybacki na Helu.

Fot. F. Nowicki — Kraków.

myślenie całości zagadnienia. Buduje się obecnie port rybacki w Wielkiej Wsi. Kafary płytkich fundamentach domki tej cichej do tej pory osady. Wolno mieć uzasadnioną nadzieję, że tempo pracy mającej na celu zaopatrzenie Wybrzeża w kutry również zostanie przyspieszone.

W obecnych warunkach praca rybaków mieszkających zdala od portów w Gdyni i Helu jest ogromna i mało przy tym wydajna. Dobrze jeszcze, gdy nie przynosi deficytu, jak to było na przykład w sezonie 1935 r., kiedy stałe gniewne morze przyniosło więcej strat w porwanych sieciach, niż dochodu ze sprzedaży złowionych ryb.

I teraz więc, w ten świeży, jak uśmiech dziecka, poranek, rybacy nie wyruszają na morze ochoczo. W potarganych sieciach znajdują jeno na pół zdechłe „ugardłone”, jak powiadają, ryby, które trzeba będzie wyrzucić za burtę, jako niezdatne do jedzenia. Łodzie, zepchnięte wspólnymi siłami gromady, są już na płytkiej, przybrzeżnej wodzie. Załoga pierwszej z nich przepycha ją z trudem przez fale, poczem gdy woda sięga im już bioder, wskakuje do środka. Jednak tygodniowy sztorm zmienił układ dna. Tam, gdzie było przedtem głęboko, teraz jest przemiał. Jakoż zdołano już odsunąć nieco łódź od brzegu, kiedy wielka, rycząca fala podnosi ją na swój ruchomy grzbiet i przekreśliwszy bokiem, usiłuje wywrócić. Łódź staje dęba i pokazuje swoje wnętrze: sześć długich, prymitywnych jak za króla Ćwieczka wiosel gwałtownie grzebie wodę. Wygląda przez



Obrazek z polskiego wybrzeża.

Fot. F. Nowicki — Kraków.

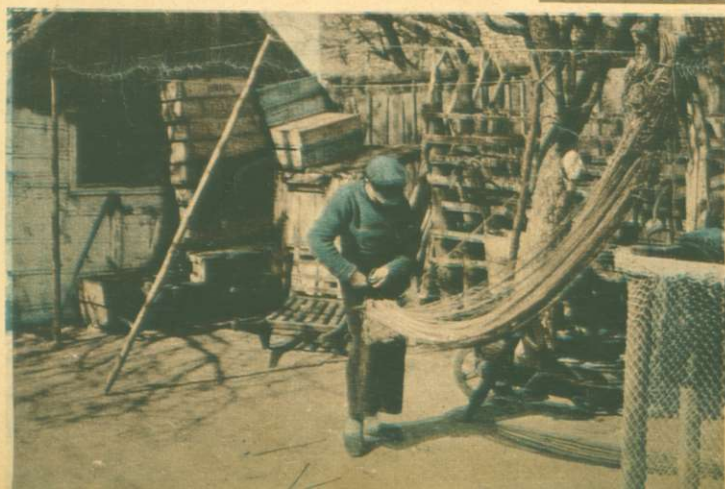
krótką chwilę niby wielki żuk, który przewrócony na wznak, przebiera energicznie swoimi sześcioma łapkami. Zła fala, przelazszy się przez plecy siedzącego na dziobie rybaka, dostaje się do środka. Załoga jednak nie traci czasu na czerpanie. Podnosi wiosła i pozwala się nieść fali. Czeka odpowiedniego momentu. Oto nadszedł: fala wraca na morze. Zgodnym ruchem wiosła zanurzają się w spienioną wodę i poczynają ją pospiesznie zagarniać, aż gną się sękate drągi. Jeszcze jeden, jeszcze drugi natrysk i łódź mija przebój i wypływa na głębszą wodę, gdzie fale nie łamią się już tak groźnie. Na maszt wlatują żagle. Łódź przypada odrazu do fali i odtąd jej podrzutami i kołysaniem zaczyna kierować pozbawiona niespodzianek harmonja.

Za pierwszą łodzią z niemniejszymi trudnościami odbijają od lądu pozostałe. Po morzu, błękitnem, jak szlachetna stal Damascenki, suną w regularnej, skośnej tyraljerze cynobrowe plamki żagli nad czarnymi punktami łodzi i oddalają się szybko. Wiatr jest pomyślny, więc niebawem szarzej już w dali i zamieniają się na cienkie wykrzykniki, wdzięcznie ku podwietrznej pochylone, wreszcie giną z oczu. Na horyzoncie smuży się tylko tu i ówdzie nikle, poziome pasemko dymu, jedyny ślad niewidzialnego, przesuwanego się poza wypukłość globu, parowca.

„Reboce su na morze.“\*)

Mieczysław Zydlar.

\*) Rybacy są na morzu.



Powyżej: Naprawianie sieci.

Fot. F. Nowicki — Kraków.

Na lewo: „Obejście“ rybackiej rodziny na Helu.

Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś Hallerowo.

Na prawo: Krajobraz z okolic Wielkiej Wsi-Hallerowa.

Fot. Alfred Świerkosz — Wielka Wieś-Hallerowo.



# MORZE W ŚLĄSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ



zu morskiego Wspomniałem powyżej, iż Stary Testament był być może źródłem wiadomości o morzu:

Gdybym ja wiedziała,  
Gdzie mój miły orze,  
Stałbym ja do niego  
Bez czerwone morze.

(Niedziela)

Uderzające są tu analogie z historją przejścia żydów przez Morze Czerwone, historją znaną niewątpliwie ludowi. Osobno omówić należy pieśń balladową o tonącym kochanku i dziewczynie, popełniającej samobójstwo mimo tego, iż cała ta tragedia rozgrywała się na i nad morzem. Osobno należy tę pieśń

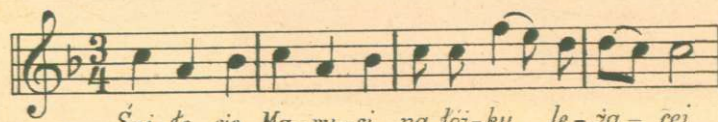
Poniżej: Fragment śląskiej piosenki ludowej z powiatu Kozielskiego (Roger nr. 230).



Czer-wo-ne goź-dzi-ki, piękne tu-li-pa-ny.



kaj-żeś mi się po-dział Ja-sien-ku ho-cha-ny.



Śni-to się Ma-ry-si na łó-zku le-żą-cej,



że jej Ja-siek u-to-nął przez mo-rze pły-ną-cy.

Fragment śląskiej piosenki ludowej z Rozbarku (Wallis).

„Na piaszczystych polach Śląska wyrosły wonne kwiaty pieśni gminnej; tu żyli skromni kompozytorzy, których imiona dawno przebrzmiały, lub może nigdy nie były znane, ale ich nuty orzeźwiająca duszę i serce, nie zaginą dopóki lud żyć będzie”.

Juljusz Roger: Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku z muzyką.

Wrocław 1863.

Epoka romantyczna ożywiła zainteresowanie ludem, zwłaszcza, baśnie i różne podania pełne fantastycznego pierwiastka, oraz pieśni, choć w mniejszym stopniu — gromadzone są skrzętnie przez romantyków — mimowolnych etnografów. A później tę literacką podnieciła zainteresowania ludem zastąpiły zainteresowania już naukowe i rozpoczęto celowe niekiedy nawet metodyczne zbieranie i spisywanie materiałów, dotyczących kultury ludowej. Wśród tych materiałów zawsze wielką grupę stanowią pieśni (np. zbiory Oskara Kolberga), a już na Śląsku pieśni zostały najlepiej opracowane ze wszystkich działów kultury ludowej. Zbiórano je tu od początku XIX w., zbiera się je dzisiaj (wyprawa prof. Kamińskiego). Doczekały się wreszcie pieśni śląskie pełnego wydania przez Komitet Wydawnictw Śląskich przy Polskiej Akademji Umiejętności.

Ogromna jest liczba tych pieśni miłosnych, weselnych, wojackich, stanowych itd itd, ogromne bogactwo melodji, ujętych w piękne, choć proste i niewyszukane formy przez nieznanych artystów przez „bezimienny genjusz ludu śląskiego”. Pieśni te silnie związane z geograficznym podłożem — inne na zielonym, inne na czarnym czy białym Śląsku, zawierają wiele wątków wędrowych, mających niekiedy zasięgi światowe, wiele wątków, zaczerpniętych z fantazji lub też zpoza swego regionu. Jeden z takich wątków zaczerpniętych z poza regionu śląskiego, a mia-

nowicie morza, chcę bliżej rozpatrzeć w niniejszym szkicu.

Lud śląski nie zna pieśni morskich, to jest takich, których cała treść mówiłaby o morzu, wielbiąc jego czar czy też opisując życie ludzi z nim związanych. Morze w śląskiej pieśni ludowej występuje jako jeden z motywów, wplecionych w treść pieśni, motywów rzadkich i słabo rozbudowanych. Wydaje się, że żaden z autorów tekstów pieśniowych morza nie widział, a ta, co mówi o niem, czerpie bądź z fantazji, bądź z tradycji, bądź... ze Starego Testamentu! Bo i gdzie mógł to morze zobaczyć, siedząc zdala od niego, chyba jako flisak, ale wśród tysięcy pieśni znam tylko jedną wzmiankę, któraby mogła uchodzić za echa flisackiego żywota. A więc opisuje morze na podobieństwo rzeki, widzianej u siebie.

Ty dziewczucho ma miła, gdzież je tam będziesz prała

W tak dalekiej krainie?

Jest przy morzu kamień, kijaneczka na nim

Mój syneczku kochany.

(Łąka — Landrin)

bądź całkowicie puszcza wodze fantazji. Te wzmianki, najbardziej charakterystyczne, zdradzają całkowitą nieznajomość krajoobra-

Rybacy, rybacy  
Przez Boga żywego!  
Czyście wy nie widzieli  
Jasinka mojego?

Widzieli, widzieli,  
Ale nieżywego,  
W środku morza płynącego.  
Mieczem przebitego.

Skoczyła Marysia  
Z brzoza wysokiego,  
I wyrwała miecz ostrzy  
Z boku Jasiowego.

Wyrwała, wyrwała,  
I w siebie go wbiła!  
Przypatrzcie wszystkie panny  
Jako go lubiła!

omówić, dlatego, iż nie jest to wątek śląski, lecz wątek stary, sięgający starożytności, przejęty i rozpowszechniony wśród ludów romańskich, germańskich i słowiańskich.

Podłożem tej pieśni jest historja namiętej miłości kapłanki Afrodyty w Sestos Hero i Leandra z Abydos. Kochanków rozdzielała cieśnina Hellespontu, co noc jednak płynię

Poniżej: Fragment śląskiej piosenki ludowej z Koszorzysk (Doffek).



Ej wo-la-ła-bych j0 na mo-rzu pnie ko-pać, jakobych j0



mia-ła, ja-ko-bych j0 mia-ła zle-go chło-pa dos-tać.

Leander przez cieśninę, kierując się w stronę światła pochodni, zapalanej przez Hero. Pewnej nocy pochodnia zgasa i Leander nie mogąc dopłynąć do brzegu, utonął. Zrozpaczona kochanka rzuca się w morze i tonie, nie mogąc znieść śmierci ukochanego. Mamy tu więc do czynienia z pieśnią o motywach przekazanych przez tradycję ludową, motywach starych, obcego pochodzenia. Reasumując powyższe rozważania, należy stwierdzić, iż morze w śląskiej pieśni ludowej należy do zespołu wątków, zaczerpniętych głównie z fantazji. Fantazja ta wiąże z morzem cechy krajobrazowe bądź znane z rodzinnych stron (np. w tekście zanotowanym przez Landrina), bądź też stwarza krajobrazy zgoła nierealne (np. tekst zapisany przez Deffka).

Poznawszy źródła pochodzenia wątków marynistycznych zastanowić się wypada nad charakterem, w jakim one występują w zespole śląskich motywów pieśniowych, nad rolą, jaką odgrywają. Wiemy już, iż morze nie jest tematem, nie jest ono nawet wątkiem rozbudowanym, mimo tego jednak należy do zespołu wątków ciekawych, atrakcyjnych, a to zarówno ze względu na swoje źródło, jak również na charakter napoty symbolizny w jakim występuje. Na podstawie materiału, jakim rozporządzam, jest morze również tworzywem do robienia porównań i zestawień poetyckich.

Jest więc morze raz symbolem czegoś ogromnie dalekiego, określeniem bodajże najsilniejszym, jakim rozporządza pieśń ludowa w zakresie opisywania odległości:

Pójdę lądem aż na morze, można mi  
Bóg dopomoże,

Ze się znajduję choć za morzem, serce  
ci moje stworze —  
śpiewa dziewczyna, żaląc się na swą dolę.  
Drugą formę odnajdujemy w następującej piosence:

Ile kropek w morzu,  
Ile gwiazd na niebie,  
Tyle mam szacunku  
Panienko dla Ciebie.

(Pow. rybnicki — Roger nr. 226)

# PARIS 1937



MAJ-LISTOPAD 1937

## EXPOSITION INTERNATIONALE

LICZNE IMPREZY ARTYSTYCZNE,  
NAUKOWE, LITERACKIE I SPORTOWE

INFORMACJE: TOW. ŻEGLUGI, AGENCJE PODRÓŻY  
I BIURA TURYSTYCZNE

Tu morze nie jest symbolem, lecz oznacza coś ogromnie liczne, ogromnie wielkie. Wątek to, jak wspomniałem, rzadki, zdystansowały go gwiazdy bardziej znane, bliższe, że się tak wyrażę, twórcom tekstów piosenek i chętniej przez nich do porównań używane.

Kończąc ten szkic poświęcony wątkom morskim, należy podkreślić raz jeszcze, iż

w wyniku szczegółowej analizy zaliczyć należy je do zespołu wątków fantastycznych o symbolicznym znaczeniu. Byłoby rzeczą interesującą prześledzić ich charakter w pieśni ludowej Wielkopolski i Pomorza, by ustalić o ile rośnie ich bogactwo oraz ich realizm w miarę zbliżania się do prawdziwego morza.

Mgr. Józef Lięza.



Tradycja pokoleń dowiodła,

że przeciw piegom są  
niezawodne



KREM i MYDŁO  
**Lesznicera**

usuwające również plamy  
i nieczystości cery.

Aptekarz Drancz i Ska., Bielsko.

## KĄCIK FILATELISTYCZNY



W górnym rzędzie austriackie znaczki wydane z okazji 100-lecia żeglugi parowej na Dunaju; poniżej znaczek francuski, wydany w związku z XIII. Kolejowym Kongresem Międzynarodowym.

Rozwój środków komunikacyjnych uwidoczony jest w filatelistyce doprawdy z fotograficzną dokładnością i w bardzo krótkich odstępach czasu pojawiają się znaczki, przedstawiające najnowsze wynalazki.

Tym razem dwa państwa wydały bardzo piękne egzemplarze, a mianowicie Francja z okazji 13-go międzynarodowego kongresu kolei żelaznych i Austria w stulecie żeglugi parowej na Dunaju.

Nie wiadomo którym przyznać pierwszeństwo,

jednak serja austriacka przedstawia się okazalej. Dostyc duży format 41x30 mm, niezwykle staranna heliografura, jak i wyrazistość rysunku muszą zasłużyć na słowa prawdziwego uznania. Łatwo można się domyślać, że czerwony znaczek za 12 gr (ze zbioru p. Skwirzyńskiego) przedstawia stateczek z przed 100 laty, a druga wartość za 24 gr, nowożytny parowiec, jeden z największych, jakie żeglują na słodkich wodach Europy. Szkoda tylko, że wszystkie austriackie znaczki wykonane tego rodzaju drukiem, mają ząbkowanie „linjowe”, a nie „skrzynkowe”.

Laicy uważają wówczas niesłusznie, że na rogach brak ząbka: nie mają oni racji, nawet przy najstaranniejszym rozdzieleniu nie może się on zachować w całości.

Z serji 2-eh francuskich znaczków reproduujemy niższą wartość za 30 c. Zdaje się, że w Polsce będziemy jeszcze długo czekać, zanim na naszych kolejach pojawią się podobne elektryczne maszyny, a już przedziej zapewne zobaczymy parowozy o linjach oplywowych (jak na drugim znaczku z tej serji za 1,5 fr). Barwy: zielona wzgl. c. niebieska (ze zbioru p. A. Zmudy).

Za dwa bloki gdańskie, opłaty i lotniczy trzeba już płacić bardzo słone ceny, są one jednak efekowniejse, aniżeli blok wydany w czasie wystawy paryskiej, który zawiera tylko 4 znaczki typu „Cerery”, będące w obiegu już w roku 1849. Filatelistyka wprowadza tu nową terminologję, która jest dla laików tak niezrozumiała jak różne nazwy ornitologiczne. Czyż wie ktoś prócz nas, co znacza słowo: „WIPA”, „Iposta”, „Pexip”, „Naba” itp? W każdym razie moda na owe bloki stała się conajmniej chorobiwą, a co za tem idzie, szkodzi!

W. H.

**PŁASZCZE A. BROSS-RYNEK 12**  
u wylotu ul. Grodzkiej



**FILATELIŚCI!**

Największy wybór znaczków, przyborów. Cenniki bezpłatnie. Jan Witkowski, Poznań, Al. Marcinkowskiego 7

# SPLIT

## MIASTO PRZESZŁOŚCI

W ostatnich latach wybrzeża wschodniej Adrii stały się ulubionym celem wycieczek polskich turystów. Całe rzesze spragnionych słońca i ciepła mieszkańców naszej północnej ojczyzny spędzają rokrocznie wakacyjne miesiące na dalmatyńskich plażach. Czy sprawia to taniość waluty, czy ułatwienia paszportowe na skutek specjalnych układów handlowych z Jugosławją, czy może poprostu dziwny urok tego pięknego kraju — niewiadomo. Faktem jest jednak, że słoneczna Dalmacja stała się potężną turystyczną rywalką Italji. Upodobał ją sobie nawet dzisiejszy ks. Windsoru — którego pobyt w Dubrowniku zeszłego lata stał się hasłem do jeszcze liczniejszych wycieczek w te strony. Dalmacja stała się modną.

A przyznać trzeba, że zasługuje na to w pełni. Bajeczny, subtropikalny w jej południowych okolicach klimat, ochładzany świeżością morskiego powiewu — bujna i ciekawa roślinność wybrzeży — malowniczość surowych skał i nadbrzeżnych gór spływających do morza dzikimi urwiskami — piękny i sympatyczny lud, malownicze i barwne jego stroje — cudowne zabytki bogatej, artystycznej przeszłości — oto walory tego kraju.

Wzdłuż całego wschodniego wybrzeża A-



Widok na perystyl katedry w Splicie.

Na lewo: Fragment perystylu od strony dawnego cesarskiego mauzoleum.



Nad obszerną zatoką w pobliżu miasta Salony, zbudował rezydencję, będącą czemś pośrednim między rzymską willą a warownym obozem. Był to obszerny kompleks budynków, wzniesiony na czworobocznym planie; na rogach wznosiły się cztery wieżycy, a w murach otwierały się z każdej strony cztery bramy: porta Aurea, porta Argentea, porta Enea i porta Ferea.

Po śmierci Djoklecjana pałac przeszedł na własność Rzymu. Gdy w 7 w. sąsiednia Salona została zburzona przez Awarów i Chorwatów, mieszkańcy jej schronili się na nadbrzeżne wyspy, z czasem zaś osiedlać się poczęli w murach opuszczonego pałacu, który zamienił się z wolna w oddzielne miasto — ówczesne Spalato, dzisiejszy Split.

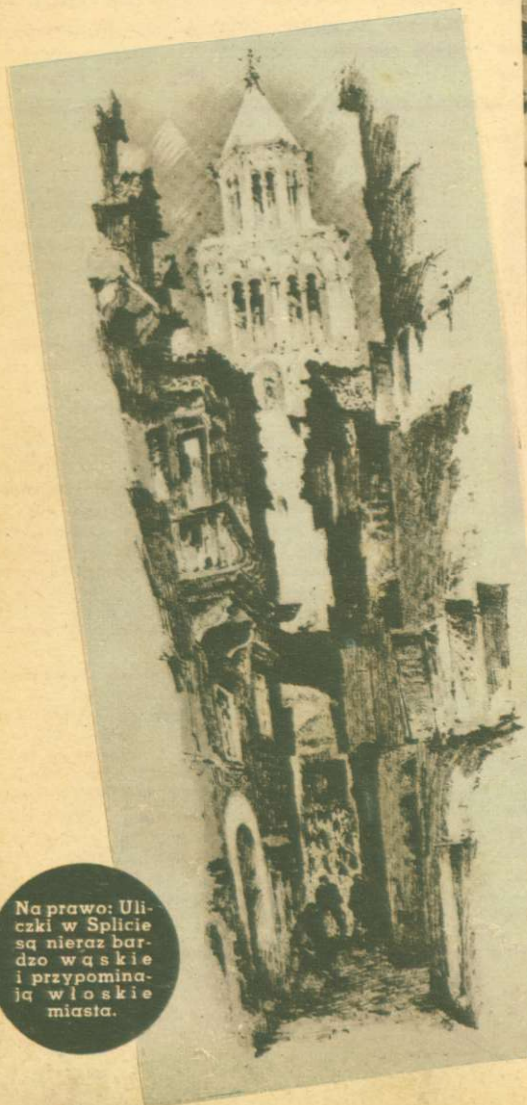
Pomimo, że miasto oddawna rozrosło się poza obręb warownego pałacu, stanowi on do dzisiejszego dnia serce Splitu, właściwe jego centrum.

Z biegiem czasu rromańscy osadnicy złączyli się z napływową ludnością słowiańską: — Split stał się bogatym portem handlowym, oraz metropolją kościelną i kulturalną. Bogaty jego rozkwit w średniowieczu zwrócił nań oczy zaborczej Wenecji, która w 15 w. objęła go — wraz z sąsiednim Trogirem — w długoletnie władanie. Nie też dziwnego, że wąskie uliczki Splitu tak żywo przypominają zaułki weneckie.

Pierwsze moje ze Splitem poznanie miało miejsce o tej najpiękniejszej, tajemniczej godzinie, kiedy majowy świt rozchyła różowymi palcami jutrzeńki ciemno-szafirowe zasłony nocy, gasząc na niebie błędnące z rannego chłodu gwiazdy. Okręt przybijał do śpiącego jeszcze portu, prując beżgłośnie granatowe, ociężałe snem fale. W półmroku rysuje się widmowo monumentalna fasada rzymskiego pałacu, patrząca na morze ciemnymi arkadami swych kolumnowych tarasów Wąskimi, pustymi uliczkami idziemy ku centrum miasta, dokąd wzywa nas wystrzelająca ponad dachy smukła kampanile katedry. Wchodzimy na perystyl: ten przepyszny zabytek późno-rzymskiej architektury, otwierający się perspektywą swych szesnastu kolumn wśród uspiętego jeszcze miasta, wygląda jak jakaś nie-realna zjawia przeszłości. Po prawej stronie wznosi się mała świątynka Jowisza, zamieniona w średniowieczu na Baptisterjum, po

drzajtyku, na przybrzeżnych wysepkach i po głębokich cichych zatokach kryją się średniowieczne miasteczka, wznosząc ku niebu strzeliste kampanile swych kościołów i zdobne rzezbami fasady opuszczonych pałaców. Kwitnące glicynje i żałobne girlandy bluszczy pną się po starych murach, a na powalonych kolumnach wygrzewają się w słońcu małe, metalicznie lśniące jaszczurki. Wśród miast tych jest jedno, którego żaden wędrowiec nie powinien ominąć — miasto przepojone wspomnieniami świetnej przeszłości, którego każdy niemal kamień jest muzealnym zabytkiem. Miastem tem jest Split.

Cesarz Djoklecjan, pochodzący z Dalmacji, podówczas kwitnącej rzymskiej prowincji, znużony trudami panowania postanowił osiąść po abdykacji na dalmatyńskim wybrzeżu.



Na prawo: Uliczki w Splicie są nieraz bardzo wąskie i przypominają włoskie miasta.

Dokończenie na str. 12-tej



Dla tego wysokiego, jasnowłosego, barczystego chłopaka, wszystko w tym wielkim świecie londyńskim było jeszcze niezgłębioną nowością. Olśniewały go wystawy sklepowe, onieśmiały wytworne dancingi i hotele, wprowadzały w kłopot piękne panie z high-life'u, do którego przynależał tak przez swe urodzenie jak przez niedawno odziedziczony majątek. Nieraz znajdując się w towarzystwie kilku starszych godnych gentlemanów, omawiających ostatnią mowę premiera Baldwina czy uroczystości koronacyjnych, lord Artur Craig czuł się onieśmielony, gdyż za mało jeszcze nawiązał węzłów sympatii i zrozumienia z tym wielkim światem, za mało zrosł się z jego interesami, poglądami i techniką życiową, aby móc brać żywszy w tem wszystkim udział.

— Jak chętnie wróciłbym do biura, do mego kąta z tym zawsze zawałonym papierami stołem, myślał nieraz w takich chwilach.

I jak chłopak złapany na gorącym uczynku, patrzył się badawczo na obecnych, bojąc się, aby czegoś nie spostrzegli. Ale myśli przechodzą zwykle niepostrzeżone, chyba że się je wykonuje.

Niedawno stosunkowo temu obecny lord Artur był tylko małym urzędnikiem prowincjonalnego oddziału towarzystwa asekuracyjnego „Prudential” w Liverpoolu i nie miał bynajmniej nadziei, że wkrótce zabłyśnie na horyzoncie stolicy. Artur liczył jedynie na samego siebie: jego poglądy życiowe były równie proste i naiwne, jak to się może zdarzyć u młodego Anglika. Alfa i omęga jego planów była praca, uczciwość, oszczędność. Zasady jego zdawały się być jakimś wyjątkiem z książki dla dzieci, która stawia im przed oczyma najbardziej popularne i „oklepane” przykazania. Stary dyrektor Briggs, przełożony Artura był z niego zupełnie zadowolony i nieraz mawiał do niego, że jeżeli wytrwa w tej pracy, będzie czynił dalsze postępy w niej i nie da się zwieść przez życie na manowce, podwyżka pensji jest pewną i wkrótce — może za lat dwa lub trzy, Artur będzie zarabiał wcale nieźle. Wysoki chłopak był w takich chwilach wniebowzięty, serce jego wzbierało wdzięcznością dla swego pryncypała, a w duszy postanawiał sobie, że kiedyś, gdy mu będzie dobrze, odwdzięczy się w pełni za słowa zachęty i opiekę jaką nad nim Briggs rozciągał.

A faktycznie rzecz miała się nieco odmiennie: Briggs nie był bynajmniej dobroczyńcą Craiga, jak ten to sobie wyobrażał, nie był też tak dobrośliwym staruszkiem, lecz poprostu mówił te morały i dawał mu zachęty jedynie dla swej własnej wyгоды. Mało bowiem kto był tak pilnym i świadomym swej odpowiedzialności jak właśnie Artur.

Osierocony wcześniej wychowywał się u dalekiego krewnego, który niby mu życzyliwy, wcześniej oddał go do szkół, daleko od domu, wcześniej też wystarał się dla niego o bardzo nędznie płatną posadę.

— Musisz stanąć o własnych siłach! — perorował stary wuj Edward, gładząc swój siwy czub. Chłopak niewiele wtedy wie-

dział o samodzielności, mimo to jednak był zaszczycony tem dobrem pojęciem o sobie i już wtedy postanawiał stać się godnym przewidywać wuja.

„Stanięcie” na własnych nogach było niczem innym jak złe płatną posadą u notariusza, u którego całymi dniami musiał przepisywać jakieś sądowe papiery, zestawiać kolejność spraw i być na każde zawołanie gderliwego przełożonego. Ale to mu wystarczyło.

— Trzeba zaczynać od małego! — pocieszał się, gdy mu bieda nieco zbyt dokuczala. Wogóle nie było człowieka bardziej umiającego się pocieszyć, jak obecny lord Artur Craig. Z jakimś dziwnym optymizmem, z zupełnym brakiem buntu, tak zrozumiałym u młodego człowieka, Artur umiał wżyć się w każdą sytuację, umiał wytlómaczyć sobie wszystko na dobre, umiał z każdej rzeczy wyciągnąć naiwną dla siebie naukę.

A właściwie chodził po świecie jak lunatyk, nie widząc rzeczy naokoło, nie umiając zaobserwować ludzkiego podstępstwa, złości i kłamstwa. Według niego wszystkie ścieżki życiowe były proste i one jedynie, mogły zaprowadzić do celu. Wogóle w prostem ujęciu życia Artura istniały dwa od siebie ściśle odgródzone czynniki: kara i nagroda. Wszędzie widział on nagrodzoną cnotę lub pogwałcony występki, i ten prosty właśnie światopogląd dodawał mu w ciężkich chwilach otuchy.

Gdy wuj jego umarł, nie zapisując mu nawet jednego pensa, chociaż zaopatrył hojnie dalekich swych krewnych, Artur widział w tem lekką nauczkę i czuł się raczej skruszony.

— Bolało go, że tak długo do niego nie pisał — pomyślał i postanowił na przyszłość utrzymywać z rodziną obfitą korespondencję. Niestety trudno było to wykonać, gdyż poza stryjem, lordem Johnem nie miał żadnej rodziny, a lord John mieszkał na wsi gdzieś daleko w Szkocji i bynajmniej nie interesował się bratankiem.

Zwłaszcza zawody sportowe, na które nieraz uczęszczał, potwierdzały jego zdaniem poglądy na sprawiedliwość życiową. Widział tu wyraźnie jak osobista dzielność, dobry trening i zdolności odnoszą skutki i przysparzają laurów zawodnikowi. Pokrzepiony też wychodził z takich zawodów, będąc pewnym, że i on dzięki swej wytrwałości odniesie życiowy sukces. Właściwie to walka życiowa Artura Craiga prowadzona była jedynie pracą, poczuciem honoru i własnej godności i wiarą w przyszłość. Atuty te byłyby może wystarczające, gdyby towarzyszył im zmysł orientacyjny, spryt czy inny jakiś przymiot bardziej współczesny. Niestety Artur Craig nie posiadał w swoim repertuarze życiowym tego rodzaju zalet.

Gdy kilka tygodni temu otrzymał list od pewnego adwokata londyńskiego powiadającego go, że został generalnym sukcesorem niedawno zmarłego stryja lorda Johna Craiga, i że proszony jest, aby w ciągu tygodnia stawił się w biurze adwokata, celem dokonania ostatecznych formalności przed objęciem spadku, Artur czuł się nieomal zawstydzony tym niespodziewanym uśmie-

chem losu. Pierwszą jego myślą była Mabel, jego narzeczona, która pochylając swą piękną główkę nad Remingtonem w biurze pewnego magazyniera sukien damskich, myślała o wspólnej przyszłości. Jak ona się ucieszy, jaka będzie szczęśliwa! — przemknęła przez głowę Arturowi. Będą mogli założyć własny dom! Pracując od trzech lat w biurze Tow. Asekuracyjnego, Artur ani razu jeszcze nie prosił o dodatkowy urlop, to też nieco głupio mu było, gdy wstępując wolno na wielkie schody drugiego piętra, szedł do dyrektora z prośbą o darowanie mu dwóch dni, potrzebnych na podróż do Londynu. Ale zamiast groźnej miny, jakiej się spodziewał ujrzeć, zastał dyrektora uśmiechniętego i serdecznie wyciągającego doń rękę.

— Niech pan jedzie, i niech pan załatwi swoje sprawy. Bardzo nam miło, że pana spotkało takie szczęście! Mamy nadzieję, że i nadal pan, milordzie, nie zapomni o nas!

— Jacy ludzie są jednak życzliwi, i jak się ich źle osądza, — myślał świeżo upieczony lord schodząc do swego pokoju. Spodziewałem się awantury, a zostałem przyjęty jak najlepiej.

Pobyt w Londynie był pasmem niekończących się niespodzianek i oszałamiających przeżyć. Okazało się, że stryj jego zostawił piękny pałacyk w West-Endzie, który oczekiwano swego nowego pana, że kilkadziesiąt tysięcy funtów leżało do jego dyspozycji w banku, że wszystko było gotowe do objęcia po zapłaceniu wysokiego zresztą podatku spadkowego. Artur, który zatrzymał się w skromnym hoteliku w pobliżu dworca, udał się natychmiast do banku, by tam podjąć trochę pieniędzy celem zaopatrzenia się w nowy garnitur, nową walizę i kapelusz, nie mógł bowiem pokazać się wytwornej służbie swego stryja w dotychczasowym stroju. Z bijącym sercem kazał się wieźć taksówce do nowej siedziby.

Nad olbrzymim miastem zapadł zmrok. Kontury szeregow domów zacierają się zwolna raz po raz tylko oświetlone światłem lamp łukowych. Ulice połyskiwały jakby posadzka świeżo froterowana: chłód unosił się nad miastem z powodu niedawnej ulewy. Jadąc ulicami Londynu, Artur oddawał się bezapelacyjnie nowemu rytmowi życia, które otąd miało wchłonąć wszystko, co ludzie nazywają szczęściem. Stanowisko, powodzenie, pieniądze, młodość — wszystko stało się jego udziałem.

Powoli wyjeżdżali z gmatwaniny dużych i mniejszych ulic szesnastu obstawionych domami i zbliżali się do części miast, w której duże ogrody nadawały odmienny zupełnie charakter. Wysokie nieraz mury lub artystycznie wykonane sztachety, pałace i wille, parki, a nad wszystkim tem szumiące wierzchołki drzew.

Wkońcu stanął przed pałacykiem, który miał stać się własnością Artura. Zadzwoił przy wielkiej bramie, za którą majaczyły gęstwiny ogrodu. Po chwili zjawił się służący, który zabrał walizę Artura i mierzęco poprowadził nowego pana do pałacu.

Wkrótce Artur znalazł się w swym pokoju sypialnym. Nie ochłonił jeszcze z wrażenia,

jakie na nim zrobiło to wspaniałe otoczenie, o jakim czytywał wprawdzie w powieściach, ale nigdy się w nim nie znajdował. Cenne meble, obrazy, olbrzymie chińskie wazy, jakie stały w hallu, duże wygodne schody marmurowe, wszystko to wywarło na nim głębokie wrażenie. Miał tyle do obmyślenia, tyle wrażeń cisnęło się do jego głowy, tyle rzeczy musiał sam ze sobą załatwić, że pod pierwszym lepszym pretekstem odesłał służącego, oświadczając, że nikogo nie chce dziś widzieć, gdyż ma dużo listów do napisania i chce mieć zupełny spokój.

Wyszedł na balkon, by przyjrzeć się otoczeniu pałacu, a raczej by podumać nad dziwnym swym losem. Nigdy tak plastycznie nieomal nie odczuwał zmiany swej sytuacji, egzotyczności nowego swego położenia, jak właśnie teraz, gdy oczy jego błądziły po gestwinie parku, gdy wypatrywały światelka ukazujące się w domach na dalszym stojących planie.

— Pieniądz jednak stanowi o szczęściu człowieka — rzekł półgłosem. Wnet jednak zadziwił się sam przed sobą wypowiedzianymi słowami. Był to pierwszy raz, kiedy przyznawał majątkowi tak dużą rolę w życiu. Dotychczas wychowany skromnie, a nieomal ubogo, szczęście upatrywał w samym człowieku, bez względu na jego majątek i sytuację życiową. Ale wszystko to, co przeżył, co go otaczało, nastroiło go jakoś dziwnie. Czuł się oszołomiony, przeniesiony na inną planetę, wyrwany z dawnego małego świata, pełnego drobnych codziennych spraw, które obecnie zbladły tak, jak gwiazdy błędna z nastaniem świtu.

Jego dawna egzystencja wydała mu się nadwyraz szara, marna, bez znaczenia. Czuł, że teraz będzie żył w dwójnasób, intensywnie, całą siłą swych dwudziestu pięciu lat. Być niezależnym, móc zrobić, co będzie mu się podobało, mieć wszystko i wszystkich na zawołanie! Co za rozkosz! Tam daleko żyją w dalszym ciągu ludzie, którzy zajęci swym losem, biegają po mieście, męczą się, nie dosypiają, nie dojadają, gdy on pozbyl się tego wszystkiego i jest swym własnym panem.

Prosta jego logika życiowa starała się uporządkować te wszystkie zdarzenia, aby zyskać jasny, konkretny obraz. Ale zadużo było rzeczy do uporządkowania. Męczył się i nie mógł dojść do ładu.

Koło Artura poczęły krążyć wspomnienia. Przypomnił sobie fotografie rodziców, których prawie że nie znał, przypomniał pierwsze lata swego dzieciństwa spędzone u wuja. Różne drobne epizody poczęły przybierać rozmiary wielkich przeżyć. Wszystko wspomnienia nieznaczące, codzienne, zwykłe. Aż wkońcu przyszyła wielka chwila, wielka i bolesna zarazem: oddanie do szkoły. Dopiero gdy skończył szkoły, gdy przeszedł różne ciężkie chwile, przestał tęsknić za przybranym domem. Powoli wyrabiał sobie kilka życiowych przykazań i kanonów, którym miał się nadal kierować. Wiedział, że jest porządnym chłopcem, że miał uczciwych i dobrych rodziców, których kochał, jak się kocha symbol niesprawdzalny.

Jakże był wdzięczny losowi za tę szczęśliwą zmianę sytuacji życiowej! Byłby chętnie pocieszył jakiegoś nieszczęśliwca, rozdał dużo pieniędzy między biednych. Ciesząc się swym szczęściem, postanowił nie zapomnieć o swych dawnych towarzyszach w biedzie i niepowodzeniu.

Pełen marzeń na przyszłość, pełen wzruszeń i dobrych postanowień, Artur, nowy pan pałacu położył się spać w dużym, staroświeckim łóżu, nad którym spoczywał duży atlasowy baldachim. Robiło to wrażenie trochę dziwaczne i przypominało historyczne filmy, które chętnie oglądał w kinie, ale niemniej spał smacznie i twardo. W nocy śniła mu się jego matka, która krzątała się po ja-

kimś dużym wspaniałym domu. W pewnej chwili przygarbła Artura do siebie, ucałowała go i zaczęła płakać. Płacz jej i ból, jaki rozdzierał jego serce na widok matki, były dominującymi reminiscencjami, jakie przedostały się z snu do świata realnego. Artur nie był przesądny, gdy jednak się obudził, dłuższą chwilę rozmyślał nad znaczeniem snu, nie mogąc go zrozumieć.

Lecz wkrótce sprawy bieżące pochłonęły go tak zupełnie, że z snu pozostało jedynie mgliste wrażenie. Młody lord począł powoli wchodzić w orbitę zainteresowań angielskiego towarzystwa, które na równi z innymi mieszkańcami Londynu poinformowane zostało przez prasę o nowym dziedzicu lordowskiego tytułu i dużej fortuny. Z poczuciem solidarności, właściwym angielskiemu społeczeństwu, nowi „koledzy“ lorda Artura poczęli nawiązywać z nim kontakt i stosunki bądź przez osobiste wizyty, bądź też przesyłając zaproszenia na różne garden-parties, five-o'clocki i inne imprezy towarzyskie. Witaił te okazje poznania angielskiej arystokracji z niemałym zakłopotaniem, gdyż nie był człowiekiem par excellence towarzyskim, uznawał tylko dobrych znajomych, albo żadnych, i nie kwapił się bynajmniej grać rolę sensacji, która po pewnym czasie ustąpi nowej.

Zaledwie kilka osób, które poznał w ostatnich czasach zdołało zyskać jego zaufanie i sympatję. Między tymi nielicznymi znajdował się były minister dla kolonii sir Eryk Stanhope, którego dom uchodził w całym Londynie za jeden z najbardziej godnych i ciekawych pod względem doboru towarzystwa. Przyjęcia u państwa Stanhope, którym ton nadawał sam gospodarz, siwy gentleman o mądrym spojrzeniu i miła pani domu, były nietylko ewenementem towarzyskim, ale dawały gościom naprawdę dużo miłych podnieć umysłowych w postaci dobrej i zawsze ciekawej konwersacji. Stary sir Eryk zdobył od razu sympatję Artura, który postanowił swój debiut w wielkim świecie rozpocząć od wizyty u niego właśnie.

Sześćdziesiąte urodziny sir Eryka stały się świetną okazją do urzędzenia w jego domu większego przyjęcia, na którym zjawili się mieli najciekawsze postacie londyńskiego high-life'u. Dom zbudowany w szlachetnym angielskim stylu, XVIII wieku Stanhopów, oświetlony był rześcicie. Co chwila zajeżdżały wspaniałe auta, stanowiąc w cichej stosunkowo ulicy niezwykle zjawisko. Lord Artur postanowił zjawić się dosyć późno, aby móc tem prędzej opuścić zebranie. Znalazszy się w apartamentach ministra, Artur Craig doznał powtórnie nieznanego mu uczu-

cia olśnienia, szczęścia, pełni radości. Piękne, wytworne sale ozdobione wieloma dziełami sztuki, uroczę kobiety, mężczyźni dystyngowani, ciekawi, grający widać w życiu główne role, wszystko razem tworzyło ciekawy obraz dla młodego człowieka, który byłby jedynie na skromnych, koleżeńskich piknikach lub też na zabawach, w których brali udział zwykli śmiertelnicy. Mimowoli silniej wrażliwy lord Artur w nową swą rolę i otoczenie, coraz silniej zdawał sobie sprawę z wartości pieniądza i sam nie wiedząc, jak się to działo, odkrywał w sobie pewien budzący się hedonizm.

— Witam pana, sir Arturze! — Gospodarz zbliżył się do młodego lorda i kordjalnie potrząsał mu prawicę. Mam nadzieję, że pan się będzie czuł u nas dobrze. Ale chciałem pana przedstawić pewnej osobie, która bardzo się panem interesuje. Jest to lady Patrycja Warren, literatka, artystka, wszystko, co pan chce. Bardzo zresztą urocza kobieta!

Po chwili Artur znalazł się sam na sam z przystojną kobietą, która poczęła już walczyć, zresztą skutecznie z niszczycielskim działaniem czasu, zachowała jednak jeszcze dużo uroku, czaru i dowcipu. Patrycja była znaną w Londynie entuzjastką sztuki, sama trochę literatka, dlatego też darowywano jej różne nieco ekscentryczne, a nawet niezbyt „poprawne“ epizody jej życia.

— Byłam ciekawa poznać człowieka, który naraz znalazł się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji życiowej i byłam ciekawa usłyszeć jego wrażenia — przywitała go. Jestem literatką i studjuję chętnie życie, przyglądając się jego różnym przemianom i niespodziankom.

Buduar, w którym siedzieli, był obity niebieskim jedwabiem, na dużym pięknym stole wykładanym szyldkretem, stał olbrzymi japoński wazon pełen żółtych, strzępiastych chryzantemów. Lord Artur poczuł się nie-swojo: ta mądra, nieco tajemnicza kobieta, budziła w nim nieokreślone obawy. A może tylko nieco natarczywy sposób jej mówienia był mu niesympatyczny?

— Jak pan czuje się w roli nowego lorda Craiga?

Z trzeciego pokoju dolatywały dźwięki starego, sentymentalnego walca francuskiego, walca z czasów przedwojennych, pełnych w porównaniu z dzisiejszemi, uczuciowości, niedomówień, poezji...

— Postaram się godnie reprezentować nazwisko i stanowisko, jakie mi zostawił mój stryj... — odparł nieco zażenowany Artur.

— Młody człowieku! — Lady Patrycja przysunęła się do niego i dziwny, niemily uśmiech ukazał się na jej twarzy. — Młody człowieku! Pan wchodzi w życie, nie zna pan jeszcze jego arkanów, tajemnic i przepaści. Chcę panu oddać pewną usługę, aby pana ustrzec przed tem, co mnie samą niegdyś doprowadziło do załamania się. Chcę pana przestrzec przed pozorami wielkiego świata, i wogóle przed pozorami życia. Niech pan nie liczy na to, co panu daje życie, niech pan liczy tylko na siebie, bo może to, co pan ma dzisiaj nie jest wcale pańską własnością.

— Nie rozumiem, dokąd pańi zmierza — bąknął Artur, wpatrując się w lady Patrycję, jak musi się patrzeć człowiek, stąnawszy naprzeciwko jadłowitego węża, który za chwilę oplecie go swym potężnym cielem. Atmosfera stawała się z chwili na chwilę bardziej ciężka, tragiczna. Zdawało mu się, że nie jest na przyjęciu u znajomych, lecz przed trybunałem sądu. Grozy dodawały jeszcze niefrasobliwe dźwięki walca, tak nie harmonizujące z słowami i wyrazem twarzy Patrycji.

— Będę szczerą, drogi lordzie Arturze. Pańskie życie nastawione było na pracę, na

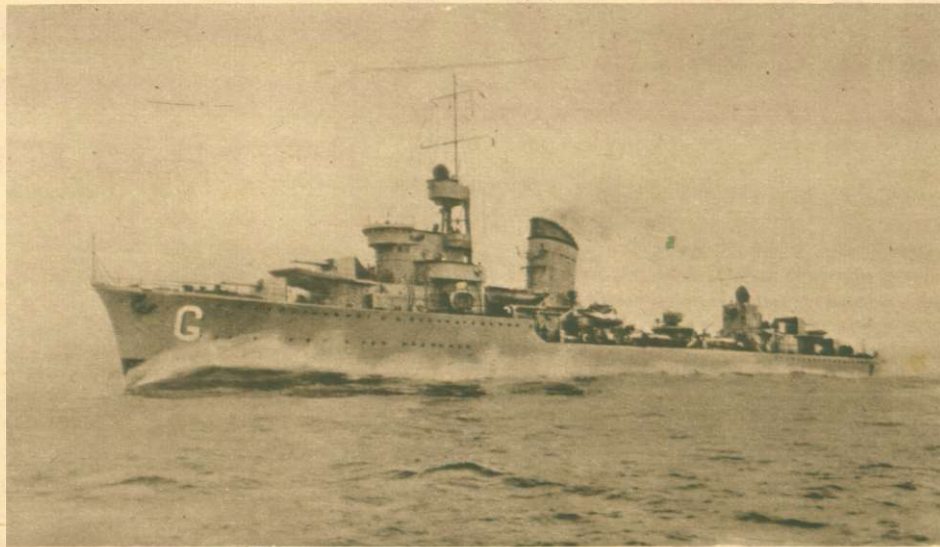
Dokończenie na str. 31-ej.



# MARYNARKA WOJENNA

**S**zumi i huczy polskie morze, rosząc białymi bryzgami piany granitowe granice lechickiej krainy. Opowiada o dawnych dziejach, gdy Polska trzymała straż nad morzem, o latach, gdy lud pomorski tęsknił do Macierzy i wreszcie — o odzyskaniu przastarych n a s z y c h praw do morza, o cu-

Poniżej: Marynarze, pełniący służbę przy wieżyczce łodzi podwodnej.

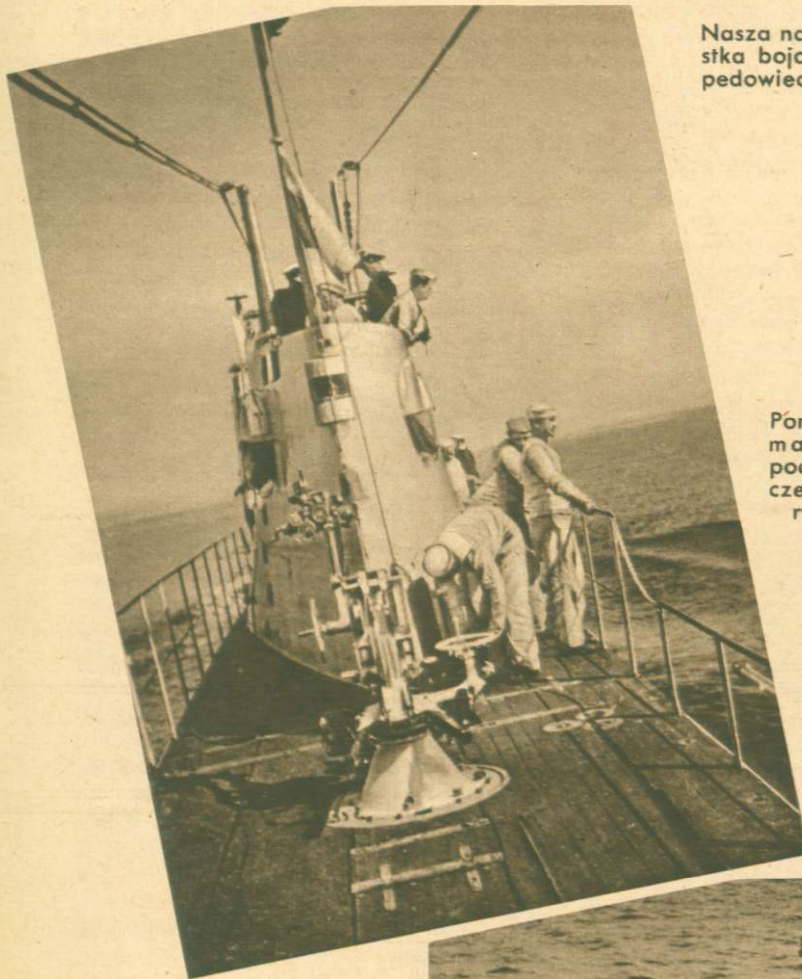


nowych jednostek naszej morskiej siły: były to jakby nowe akcenty, którymi podkreślaliśmy nasze słuszne żądania.

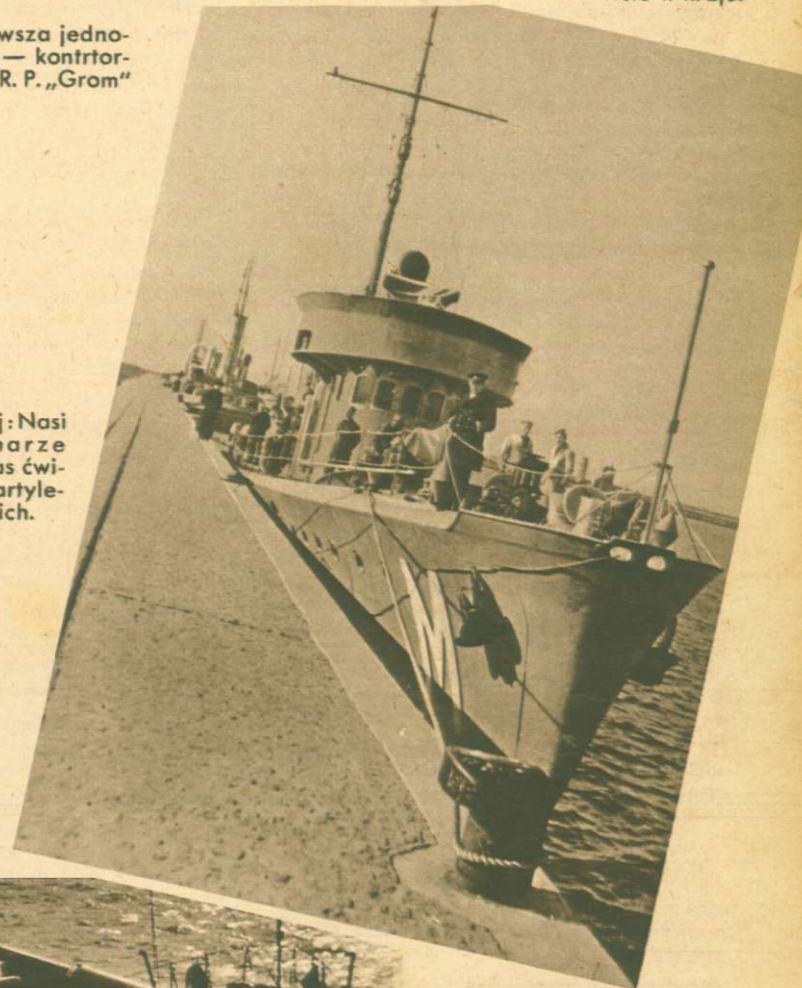
— Jesteśmy silni i potrafimy uniezależnić się od potężnych sąsiadów! — mówiliśmy, budując Gdynię.

— Żądamy kolonii! — mówimy, prezentu-

Poniżej: Trawler O. R. P. „Mewa” wykonany został całkowicie w kraju.



Nasza najnowsza jednostka bojowa — kontrtorpedowiec O. R. P. „Grom”



Poniżej: Nasi marynarze podczas ćwiczeń artyleryjskich.

dzie Gdyni i o rosnącej potędze naszej floty.

Mamy już doskonale statki handlowe, luksusowe okręty pasażerskie, ale oczy świata zwrócone są na naszą marynarkę wojenną. Wiedzą bowiem zarówno nasi przyjaciele, jak i wrogowie, że tylko silna flota wojenna potrafi zapewnić nam niezachwiane stanowisko nad Bałtykiem. My również pamiętaliśmy od zarania naszych „morskich” rządów, że „*si vis pacem, para bellum*”...

Co roku dowiadywaliśmy się o spuszczeniu na wodę



jąc nowe statki bojowe.

Dziś możemy być pewni, że nasze żądania nie pozostaną bez echa. Zrealizowało się hasło odzyskania dostępu do morza — ziści się również nasze marzenie o kolonjach! Tembardziej, że nie ma już nikogo, kto nie rozumiąłby wielkich zadań *Ligi Morskiej i Kolonjalnej*, instytucji, która niezłomnie pracuje nad ugruntowaniem potęgi Polski na morzu. Dziś wszyscy gremjalnie gromadzą się pod jej znakiem!

## SYRENA

## OPowieść Marynarska

Polecono mi zmienić żeglarza Morsztyna. Przeniknięty jeszcze błogością ciepłej koi, z której tylko co wyrwał mnie rozkaz starszego żeglarza i szelesty gorączkowo wciąganej odzieży przez kolegów z mojej wachty, wytrącony z równowagi chwiejnością podłogi statku, która w wyimaginowaniu różnych staniała się kierunkach, szedłem do miejsca jego stanowiska, niedość pewnie, powoli. Trzeba było zresztą zorjentować się w sytuacji, gdyż Morsztyn był doskonałym żeglarzem i nie chciałem, obejmując po nim służbę, być w czemś ubiegnięty. Nasze wzajemne ambicje nie pozwalały, by któryś inny wcześniej spostrzegł jakieś światło, ład, zmianę kursu, czy nawet cień nieoświetlonego, przemykającego się nocą, statku strażniczego Tembardziej, jeśli się obejmowało służbę „oka” na dziobie, na szkolnym statku.

Wnikałem przeto z natężeniem w dal nocy całą swoją istotą, aż w szeroko otwieranych oczach, z których jednocześnie wilgotnawe podmuchy wiatru resztę sennych, miłych widziadeł rozwiewały — czułem ból. Dreszcz mną wstrząsnął raz i drugi — oprzytomniałem zupełnie.

Rzuciwszy jeszcze okiem na gwiazdy, szlak piany za rufą statku, żywszym krokiem zbliżyłem się do miejsca wachty.

Morsztyn nie słyszał mego przybycia. Wiatr znosił poza mnie szmery płaszcza i ciche kroki.

Od dziobu szedł cichszy, to znowu bardziej wyrazisty świągot kropielek, tryskających z rozpruwanej piersią żaglowca powierzchni morza, który dźwięczał chwilami cichą melodią. Uroczą była noc. Prawie ciepła. Łagodny wiatr nie mącił powierzchni wód. Wielkie wydęte skrzydła żagli kłoniły się cicho pod jego tchnieniem. Morzem kołysała długa, łagodna fala. Dal ciemna, bliżej szara, a na tle tem uwypuklona mrocznym światłem księżycą, zupełnie czarno wrzynała się w horyzont, sylwetka wartownika.

Patrzyłem nań zbliżając się. Wpleciony jakby w sieci lin, których drogi gubiły się gdzieś wśród gwiazd na topach masztów siedział nieruchomo. Już otwierałem usta z szablonowym „melduję” — gdy na policzku jego zabłysnęła łza.

Mały punkcik toczył się wolno, zabył snął raz jeszcze i zagubił się w ciemnych zwojach, twardych, rzuconych pod burta lin. Zmieszalem się.

Niemożliwe by to była łza wyteżenia wzroku, czy wyciśnięta wichrem, — niemożliwe. — Płakał.

Stałem, nie śmiejąc się odezwać; zdawało mi się, jakbym przyszedł nie w porę; stałem się mimowoli niepotrzebnym świadkiem. Czulem się czemuś winien, a wycofać się nie mogłem, tam oficer czekał na zameldowanie zmian. Targnęło mną niezadowolenie, że wachta nie wydzwaniła godzin nocnych. Okrętowy dzwon byłby go uprzedził o moim przybyciu, ale jękiwie jego serce wisiało tuż nad otwartymi lukami podpokładzia, z których szedł ciepły mrok i przeciągłe, chrapliwe oddechy zmęczonych, zawieszonych w hamakach pod pułapem ciał ludzkich.

Dziwną mi się wydała ta noc. Tysiąc myśli w krótkich chwilach przemknęło przez głowę. Księżyc, jak sierp cygańskiego kolczyka, srebrzył naszą włóczęgowską dolę. Rzadkie, raczej cienie chmur, niż chmurki przyćmiewały jego zimne światło, to niktą zupełnie pozwalały płynąć z nieba, w migotliwych białych skrach, długiej drodze smętku, sięgającej bladą poświatą naszych burt.

W zmieszanie moje wsącał się smutek i zdziwienie.

Niezwykły ten Morsztyn! Był dla mnie wzorem twardego żeglarza. Człowiekiem, którego nic nie interesowało poza służbą i morzem, poważny, obojętny w stosunku do otoczenia, nie dbający o zdania kolegów i serdeczność, raczej odludek i sybaryta, w odnośzeniu do innych drwiący, unikający rozmów o kobietach, przesypia na odosobnieniu cały wolny czas, chłonie jedynie wichry, morze, żeglarke. Dziwny.

Przypominają mi się jego uśmiechnięte do mnie oczy, raz jeden, gdy wchodził podczas silnego sztormu po wantach na maszt, jakby mówił wtedy spojrzeniem: to lubię. Ja zaś patrzyłem niby nowicjusz, gdy on z najwyższą swobodą czepiał się lin coraz wyżej, wśród rozszalałego wichru, na walących się z rozpedem kalu wodzie masztach. Dziwiłem

się wówczas jego mężnemu sercu, jak dziwi się dziwie łzom.

Świetny, doświadczony żeglarz. Włóczy się od kilku lat na kopenhaskie rejsy przy każdej okazji, statkiem czy jachtami; drogę zna bez locji jak stary pilot, każdą boję, każdą wiechę, światło, wyspę. Nie dziwiło mnie, że on właśnie pełnił wachtę tak przed zaoczeniem ładu w stronę Kopenhagi, jak i obecnie w odrodze powrotnie.

Słyszałem, że wielu marynarzy kocha się w Kopenhadze w pewnej, ślicznej dziewczynie; dziewczynie o linjach ciała tak harmonijnie pięknych, na jakie stać tylko natchnioną duszę artysty; dziewczynie o słodkiej twarzy i dobrym sercu — o sercu, które nie zdradza. Nigdy i nikogo. Pięknej syrenie

Myśl moja pobiegła błyskawicznie do naszego wczorajszego spotkania na nadbrzeżu, gdy Morsztyn stał w pobliżu rzeźby owej syreny z przeażliwym smutkiem w oczach, chęcią pozbycia się mnie pod pretekstem załatwienia jeszcze interesów w mieście.

Zacząłem nabierać przeświadczenia, kojarzyć nagle, gdy oto w tej chwili Morsztyn przesunął oczyma po horyzoncie daleko wstecz w lewo i prawo i zobaczył mnie.

Drgnął. Zerwał się.

W tej chwili meldowałem objęcie służby. — Przyglądał mi się bacznie, zbliżając się do twarzy, stanąwszy tyłem do światła.

— Widziałeś? Tak. — Bo widzisz nie wiem, czy do niej jeszcze kiedy wrócę... Zrozumiem wszystko. Jego długie, wieczorne, wczoraj wpatrywanie się w znikającą w oddali postać dziewczyny, jego służbę prawie całonocną na własne zgłoszenie, jego życie dziwne i samotne, jego nawroty rok roczne do Kopenhagi i zaburzenie w głosie, gdy pytał — „widziałeś” — i milczące odejście.

Tak. Przecudna, smutna dziewczyna z Kopenhagi — syrena, warta jego miłości

Ona wiernie kocha ich, ludzi dzikiego morza, marynarzy, którzy przybywają do niej z dalekich łądów, uwodzi ich urokiem swoich dziewczęcych kształtów, a siadłszy samotnie na głazie, dalekim, smętnym spojrzeniem żegna ich i oczekuje.

**Dokończenie z str. 8-ej.**

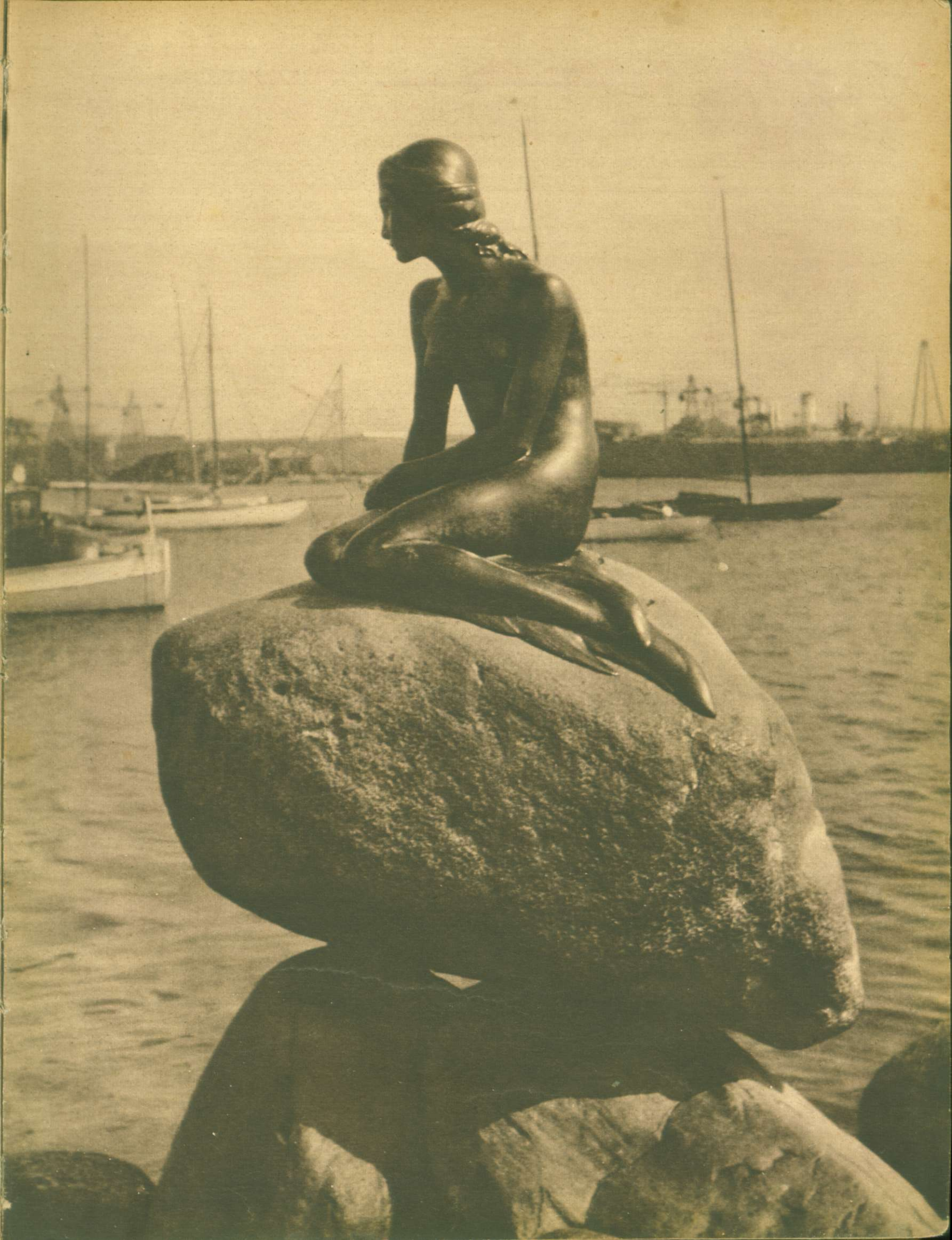
lewej — katedra, dawne cesarskie mauzoleum. U bram jego czuwa ostatni z czterech nubijskich sfinksów, które niegdyś trzymały straż przy sarkofagu Djoklecjana. W 9 w. mauzoleum zamieniono na katedrę, a po cesarskim sarkofagu nie pozostał żaden ślad, tylko we wnętrzu zachowane wśród fryzów pod kopułą, nakrywającą półkolumny oktagon, medaliony z portretami Djoklecjana i żony jego Pryski, świadczą o dawnym jego przeznaczeniu, jak również wizerunek boga śmierci — Hermesa Psychopompos. Na miejscu dawnego przedsiönka gorąca wiara średniowiecza wzniosła strzeżoną kampanję; — na pamiątki rzymskiego panowania padł cień krzyża...

W środku perystylu wznosi się dziś półkolumny pomnik biskupa Grzegorza z Ninu, duża największego geniusza tej ziemi, Iwana Mestrovicia. Wiele było sporów i dyskusyj, czy dobrze zrobiono umieszczając w tym miejscu dzieło nowoczesnej plastyki, olbrzymich rozmiarów, przytłaczające jakoby swym ogromem otoczenie, nie harmonizujące ze stylem późno antycznej architektury perystylu. Ale wielki, samotny, słowiański biskup stoi tam nadal, zakrzypli w patetycznym wyrazie, jaki nadał mu wielki słowiański rzeźbiarz...

Błądząc po mieście co krok spotyka się widma przeszłości: tu jakiś pałac wybiega ku górze ostrołukami swych weneckich okien, tu nad starym, nawpół skruszałym

portalem widnieją tarcze herbowe patrycjuszowskich rodzin Splitu. Tam znów pomiędzy ubogimi domkami, biegną fragmenty starych rzymskich łuków, a obok gotycki klasztorek zaprasza nas chłodem swego dziedzińca, gdzie wśród kwitnących laurów szmerze perłiste wodotrysk. Echa antyku przeplatają się wciąż ze wspomnieniami średniowiecza, renesansowe atyki wybiegają poza masywy romańskich murów, łączą się style w jakąś misterną, nie do rozwikłania sieć, oplatając to miasto przeszłości... I tylko zda się współczesność nie śmie tu wtargnąć: dzisiejszy rozwój miasta wybiega daleko poza mury cesarskiego pałacu. Stary Split pozostał wierny echem przeszłości...

Ewa Mieroszewska.



## Na północnym szlaku:



Finnami" — to nieliczne plemię bowiem odnosi się do osiedlających się na północy Finnów z pewnym poczuciem wyższości — jako prawi odwieczni mieszkańcy kraju wobec „parwenjuszowskich“ przybyszów.

Przynieśli tutaj na sprzedaż wielkie jesienne, krótką sierścią pokryte rogi rena i teraz wraz ze swemi niskimi krępami kobietami obsiedli z powagą ławy pod ścianami „kahwile“. Kręcą się u ich stóp dwa prześlizne lapońskie psy — słynne z inteligencji i wierności. Przypominają nieco nasze owczarki, są jednak mniejsze i sierść mają bardziej jedwabistą, przeważnie żółtą.

Usiłujemy rozpocząć targi z grupką milczących niewiast. Ich czerwone haftowane czapki, w kształcie kominiarek, oraz kute srebrne brosze, spinające zarzucone na ramiona chusteczki, wydają się nam niesłychanie dekoracyjne.

Tłumacza mamy znakomitego, to miejscowy nauczyciel ludowy. Objasnia nam on, że Lapończycy są niezmiernie zdolni, sprytni, inteligentni, ambitni i temi zaletami prześcigają znacznie miejscowych Finnów. Są wszyscy zwolnieni ze służby wojskowej,

czy możliwe, by tu, w Laponji, znajdowało się aż tylu abonentów?

Tak jest jednak istotnie. W kraju, gdzie przestrzeń 13 tys. km zamieszkuje 2 tysiące ludzi (część północna odstąpiona Finlandji przez Rosję), co kilkaset kroków „wyrzucamy“ przynajmniej jeden dziennik. Mówię „wyrzucamy“, przeważnie bowiem autocar nie staje, zwalnia tylko około ustawionego na niewysokim słupku drewnianego pudełka z pokrywką w kształcie daszku. By nie tracić czasu, konduktor upuszcza przesyłkę obok na ziemię. Wobec pogody może sobie na to pozwolić.

Czasem na takiej prymitywnej skrzynce pocztowej, stoi maleńka narodowa chorągiewka: znak, że wewnątrz znajduje się list czy paczka oraz pieniądze na opłatę pocztową. Mieszkańcy głębokich czarnych lasów, nie mając gdzie kupić marek, w ten sposób wysyłają swoją korespondencję, a nawet przekazy pieniężne. W „dzikiej“ Laponji jest nie do pomyślenia, by ktokolwiek mógł ruszyć pozostawioną, dosłownie na drodze, cudzą gotówkę.

Krajobraz staje się smutniejszy. Coraz rzadsze, coraz bardziej poszarpane i karłowate są lasy, coraz liczniejsze spękane skały, powyrywane pnie i białe platy mchu. Mijamy szerokie przestrzenie tundr i prostą pustą szosą wznosimy się wciąż w górę i w górę. Przebywamy czarne, ciche, smutne Petsamontunturi. Droga nasza wiedzie wzdłuż wielkich martwych jezior, koło kryształowych rzek, nad którymi czasem dojrzeć można stojące krzywo między karłowatymi

# LAPONJA

Ilustracje mojej szkolnej geografji przedstawiały Lapończyków, jako uosobienie potwornej wprost brzydoty, to też gdy na jednym z postoi między Ivalo a Linahamari ujrzałam całą ich gromadę, zdumienie moje nie miało granic. Drobnii, smagli o wąskich oczach prezentują się malowniczo w swych barwnych strojach. Noszą bowiem wielkie rogale czapy (przypominające w karykaturze krakowskie rogatywki), granatowe, nisko na biodrach kolorowym pasem przewiązane bluzy i zabawne, o w górę zakręconych nosach, buty.

Spokojni i pełni godności, zaznaczają przez tłumacza, iż „są Lapończykami, a nie



Mała przystań na fiordach.

Na lewo: Przewożenie autobusu promem przez Ounasjoki.



Zwały suszonych ryb czekają w nadbrzeżnej wsi lapońskiej na wysyłkę.

bowiem przeniesieni ze swego chmurnego kraju, słabną, zapadają na dziwną jakąś i nieokreśloną chorobę — wreszcie umierają.

Lapończycy dochodzą naogół do dużej zażyłości. Trudnią się potrochu rybołówstwem, a głównie hodowlą renów i posiadają stada po 1000—1500, a nawet 2000 sztuk, co stanowi tutaj prawdziwy majątek.

Właśnie zdołaliśmy nieco rozruszać naszych nowych znajomych i skłonić ich do zrobienia fotograficznego zdjęcia, gdy chrapliwy sygnał autobusu wzywa nas znowu w drogę.

Ruszamy. Nasz konduktor, będący jednocześnie urzędnikiem pocztowym, nieustannie wiąże rulony gazet, których olbrzymi stos piętrzy się na podłodze wozu. Patrząc ze zdumieniem na tę niewiarygodną ilość pism;

drzewami luksusowe auto z literami GB. — To bogaci Anglicy, namiętni amatorzy połowu lososia dobrnęli aż tutaj ze swemi kosztownymi maszynami.

Znow wielkie skłębione obłoki zaległy niebo — przelatują krótkie gwałtowne deszcze. Nasz autobus pędzi coraz szybciej, jakby chcąc uciec od smutku i beznadziejności mijanych widoków. To już prawie pustynia. Wielkie i małe, lite i spękane głazy, karłowate brzoźki, mchy i pełzające rośliny zalegają wielkie bez końca przestrzenie i stoki. A wszystko skurczone, pogięte, bolesne, wszystko jakieś niepewne, jakieś przeżalone. Pod tym ciemnym niskim niebem, nawet skały tak zawsze groźne i niewzruszone zdają się zepchnięte tutaj i porzucone tylko na chwilę.

Biegająca przez czarne lapońskie lasy, ku



Ulica w Hammerfest.

wybrzeżom oceanu lodowatego autostrada okazuje się znakomita, równa jak stół.

Zbudowana ogromnym wysiłkiem przed kilku laty jest pierwszym krokiem do udostępnienia przystani nad fjordem Petsamo, który w przyszłości stać się ma wielkim i ważnym portem. Ocean Lodowaty bowiem (widocznie przez „esprit de contradiction“ przyrody) jest dzięki wpływowi Golfstromu, nigdy nie zamarzającym morzem Finlandji. Dla państwa eksportującego wszystko drogą wodną, wybudowanie wielkiego portu nad jego brzegiem posiada pierwszorzędne znaczenie.

Pięknymi wielkimi łukami szosa nasza zbiega ku dolinie Petsamajoki. Wielkie, czarne nagie zbocza gór opadają ku wodom rzeki, nad którą wąskim pasem ciągnie się smuga karłowatej ciemnej zieleni. Nagle z sykiem przypominającym westchnienie ulgi autocar zatrzymuje się nagle.

Naraz wylania się przed nami biała i pękata cerkiew! Teraz dopiero przypominamy sobie, że ta część Laponji przez długie lata (do r. 1920) należąca do Rosji, jest prawosławna, że znajduje się tu jeszcze kilka starych monasterów, że zbliżamy się do słynnej góry Peczełgi. Tu w niższym Yläluostari niema już mnichów, resztki ich dożywają swoich dni dalej w górach, w starym klasztorze. Podobno rząd fiński odnosi się tu na północy bardzo niechętnie do prawosławia, a nawet znosi cerkwie, budując w ich miejsce kościoły. Ile jest prawdy w tych prywatnych informacjach nie zdołałam stwierdzić.

Przebywamy ostatnie kilometry arktycznej autostrady. Po obu stronach doliny wznoszą się groźne, nagie — coraz bardziej ponure, coraz bardziej puste szczyty. Czarne ich ściany, poryte rozpadlinami, zbliżają się chwilami tak bardzo, że zdają się pochylać nad wątlą linią szosy. Zrywa się ostry, zimny wiatr.

Na płaskim wybrzeżu rzeki stoją małe kościółki, kilka domków. To miasteczko Petsamo — tu jest ujście Petsamajoki, skąd droga nasza biegnie wzdłuż fjordu, gdzie

Poniżej: Potężne pasmo górskie Petsamontenturi, porośnięte jest ubogą florą.



Oto często spotykany w Laponji widok: las ogołocony z gałęzi przez silne wichry.



Zatoka na dalekiej Północy.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. MARJA KRZEWSKA

szara, spokojna i obojętna — marszczy się woda oceanu.

Jeszcze kilka ostatnich kilometrów, jeszcze kilka pięknie widokowo poprowadzonych zakosów — i nagle czarne ściany Petsamontenturi rozbiegają się na boki, prostopadle opadają w dół, a na małym skrawku ziemi u ich stóp, kilka wątlých drewnianych domków zdaje się kurczyć pod huczącymi uderzeniami wicheru. Przed nami potężny, groźny, niosący na czarnych falach pióropusze piany — szumi ocean Lodowaty. Jesteśmy w Liinahamari.

## II.

Ostatnią noc w Finlandji spędzamy znowu w znakomitym Liinahamari Tourist Inn, którego pieczętka głosi „325 miles North of the Arctic Circle“.

Wielki drewniany budynek hotelu jest jedyną większą i jaśniejszą budowlą w malenkiej, przerażająco smutnej rybackiej osadzie. Chodząc po wąskim drewnianym moście, patrząc na porządne, ale jakże drobne i bezradne nieliczne domki, na potężne, wielkie, wznoszące się tuż czarne ściany gór — wyobrazić sobie nie mogą tego wielkiego ruchliwego portu, jakim Liinahamari stać się ma za lat parę.

Teraz krążą tu tylko dwa czy trzy towarowo-pasażerskie stateczki, łączące tę fińską przystań z granicą sowiecką na wschodzie i granicą norweską w Kirkenes. Tam właśnie wiezie nas biały parowiezyk w smutny pochmurny ranek. Mijamy najsmutniejszą część naszej trasy. Czarne skłębione chmury przewalają się nad rozpaczli-

wie pustymi ścianami czarnych gór, czarna spieniona woda uderza z głuchym szumem o poszarpane, stromo ku wodzie opadające skały — potężny wiatr jęczy i huczy — a mewy z rozpaczliwym wrzaskiem krążą wokół pokładu.

Tu na całym wybrzeżu aż poza Nordkap słońce świeci zaledwie kilka dni w roku, a siwe smugi mgieł wiją się w fantastycznych kształtach wzdłuż wybrzeży.

Potężny przerażający w swej grozie cypel Nordkapu ujrzałszy również spowity w ich niesamowitą zasłonę. Czarny, zupełnie nagi, poryty smugami szczelin opada ku wodzie prostopadłymi ścianami, o które wał z sykiem białe spienione fale oceanu. Jest tak srogi, niedostępny, straszliwy w zwojach szarych mgieł, że głucha cisza zalega pokład i każdy zadaje sobie pytanie czy w bliskości tego groźnego olbrzyma żyć może jakiegokolwiek żywe stworzenie? Nagle jakby w odpowiedzi — z pomiędzy skał wyfruwa stado mew, krążące z wrzaskiem nad rybacką łodzią, której uszczęśliwiona załoga pokazuje nam zdala półtorametrowego ułowionego łososia.

W naszej wędrowce „zahaczyliśmy“ również o najbardziej na północ wysunięte w Europie miasto — Hammerfest. Przytulone do stromych skalistych zboczy gór, składa się ono z kilkunastu uliczek, zabudowanych śmiesznie kolorowymi domkami. Istnieje tu bowiem zabawny — może surowością krajobrazu spowodowany — zwyczaj malowania tych drewnianych budyneków o śpiczastych dachach, żywymi barwami.

Stoją zatem jeden za drugim: różowy, niebieski, zielony, żółty, co w jasnym świetle słońca robi naprawdę wesołe wrażenie.

Przy niektórych, wielkim szczelnym od wicherów chroniącym płotem otoczony — ogródek. Na małym skrawku ziemi karłowate brzoźki, jakieś rośliny, przypominające chłopskie nagietki i kępy zielonej trawy. Nie wiele więcej można wyhodować pod tą szerokością geograficzną.

(Dokończenie na str. 22).

Poniżej: Statek wypływa z fjordu na pełne morze.





Powyżej: Dostać się na morze poprzez dużą falę, to rzecz nie łatwa... — Na prawo: Łódź kolumny ratowniczej w akcji...

# NA MORZU

*tonie człowiek!*



NA



**P**odziwu godną jest odwaga tych jednostek, które z narażeniem własnego życia ratują bliźnich z objąć niechybnej śmierci. Czy będzie to pożar, czy powódź, trzęsienie ziemi lub inna katastrofa żywiołowa — wszędzie tam pośpieszą kolumny bezimiennych bohaterów, których nazwiska pozostaną nieznane, a czyn tylko, godny dłuta i marmuru, zajaśnieje jak meteor na horyzoncie szarzyzny ludzkiej niedoli i olśni chwilowym blaskiem altruizmu i poświęcenia.

Na morzu i nad jego brzegami nieraz już człowiek walczył o swe życie i wtedy na zew tragicznego S. O. S. wyruszały kolumny ratownicze, które nie bacząc na rozszał żywiół, docierały do miejsca katastrofy, niosąc nieraz w ostatnich sekundach wybawienie. Na naszych zdjęciach widzimy w akcji jedną z takich kolumn ratowniczych, zorganizowaną w Sydney w Australji, gdzie częste burze dają się we znaki nie tylko rybakom na połowach, ale i kąpiącej się publiczności. Członkowie kolumny, to doskonale wyszkoleni pływacy. Nic więc dziwnego, że umieją oni walczyć z morzem, nawet wówczas, gdy jest bardzo zagniewane.

J. L.



Na lewo: Od szybkości pracy rąk ratownika zależy życie tonącego...



Od lewej: Kolumna „Nord-Bondi” z Sydney wyrusza na brzeg... — Zabezpieczony liną, przywiązaną do pasa korkowego, startuje ratownik na pomoc tonącemu...  
poniżej od lewej: Pozostali członkowie kolumny ratowniczej naddają linę w ślad za pływającym... — Ratownik powrócił z wody z tonącym, którego przenoszą już inni...



# P O L S C Y GLOBTROTTERZY

**N**a stole leży duża mapa pokreślona niezliczonymi liniami kolejowymi. Nerwowym palcem przebiega młody człowiek dalekie przestrzenie, robiąc jakby próbną podróż, zanim zapakuje kuferki i naprawdę wybierze się w szeroki świat. A kuferki, dwa skórzane płaskie, nowoczesne — czekają cierpliwie na hasło podróże. Sycylja, Neapol, Saint-Jean de-Luz, lub też Skandynawja, fjordy? A może pozostać w granicach PKP i pojechać na Polesie, do kraju Huculów lub też na Litwę, albo do jakiegoś Morszyna, Krynicy, Rabki, Żegiestowa? Trudna decyzja, trudna, ale tylko zasadniczo! O ile plany poparte są odpowiednią książeczką czekową, pryskają trudności. Wkrótce znajdziemy się na dworcu, na szynach zajędzie prychający parą smok żelazny, za którym wlecze się jego długie cielsko w postaci wygodnych wagonów, a za dzień lub półtora wsiadać może będziemy na statek, na którym owienię nas fala morskich zapachów, woni smoły, sznurów, smarów i jakichś nieokreślonych składników. I jeszcze kilka godzin przejdzie, a znajdziemy się na pełnym morzu, na którym znajdziemy nicomal to wszystko, co drogie nam jest na stałym lądzie: komfort i nasze przyzwyczajenia.

Inne obrazy stawały w oczach wojażerom przeszłości, wybierającym się w dal. Przed dworem w Świdziebnej pod Warszawą stoi już powóz zaprzężony w cztery bułanki. Woźnica Maciej poprawia jeszcze to i owo przy zaprzęgu, dogląda czy kufrы dobrze są umieszczone z tyłu powozu i dobrze przytwierdzone do pudła pasami, ogląda podkowy koniom. Podróż niebyle jaka: spod Warszawy księżna pani jedzie do Bielic w Prusach, do stryja, a stamtąd po pewnym czasie jadą do Paryża. Ha! Nie można inaczej. Ostatnie powstanie, które dogasa wzbudziło drapieżność władz rosyjskich, tępiących wszelkie pozostałości po r. 1831. Marjanna Światopłk Mirska, żona uczestnika powstania, to jedna z wielu ofiar, która jedzie na emigrację, nie wiedząc czy wogóle wróci. Te podróże to najsmutniejszy szlak naszej turystyki przeszłości: zresztą nie pierwszy i nie ostatni. Zaczął się z powodów politycznych już w końcu XVIII. wieku, na dobre szlak ten zaroził się podróżnikami po r. 1831 i 1863, ale przetrwał do naszych dni, kiedy to podczas wojny światowej Paryż i Szwajcaria stały się ośrodkami polskiej nieoficjalnej polityki zagranicznej.

Zobaczymyż, jakie drogi łączyły w dawnych czasach Polskę z zagranicą, jakimi były szlaki naszej turystyki, gdyż śmiało możemy mówić o polskiej turystyce w przeszłości i bynajmniej nie potrzebujemy ustępować miejsca przysłowiowym i klasycznym globtrotterom — Anglikom. Znalazłoby się nawet sporo cech podobnych między angielskimi globtrotterami a polskimi turystami. I jedni i drudzy uznawali przede wszystkim wygodę w podróży i z tego też powodu zjawiali się z olbrzymim dworem, z licznymi furgonami i karetami, jednym słowem przemieszczali się z całym domem. Tępiciele „wschodnich cech” w charakterze Polaka zarzucają, że i to jest przywarą wziętą ze wschodu; ale przypomnijmy im, że to samo spotykamy u najbardziej „zachodnich” Anglików. Gdy pewnego pięknego południa r. 1822 wyruszyła z Londynu rodzina lorda Blessington, karawana jego obejmowała poza kilkoma karetami, wo-

Poniżej: Pomnik królewicza Aleksandra Sobieskiego w kościele OO. Kapucynów w Rzymie.



Plac króla Stanisława w Nancy, dawnej rezydencji tego monarchy. Zdjęcie dokonane w czasie pogrzebu marszałka Francji — Lyautey.

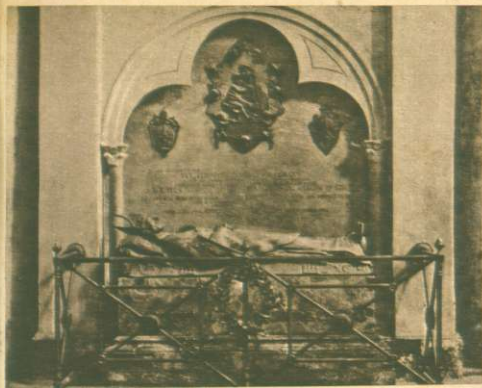


zy naładowane meblami, kuframi, sprzętami kuchennymi i podręczną biblioteką, a lady Blessington nie zapomniła również o swoim ulubionym łóżku. Nic dziwnego, że w tych warunkach podróż z Paryża do Avinionu trwała całe 30 dni! Ludzie ówczesni kochali się poprostu w komforcie, wprowadzili inny jak dotychczas, cięższy, bardziej osobistym i niezrozumiałym, ale w każdym razie komforcie.

Otóż kilka zasadniczych celów przyświecało turystyce dawnych Polaków. Przedewszystkiem nauka, następnie również powody polityczne, wkońcu niektórzy uprawiali „czystą” turystykę dla rozrywki, dla ogólnego wykształcenia i poznania obcych krajów. Ze dużo u nas podróżowano i to nietylko w sferach najbogatszych, ale również średniej zamożności, świadczy o tem choćby utwór Ignacego Krasickiego „Przygody imię pana Doświadczyńskiego”, w którym przedstawia on obraz trybu życia młodego człowieka zamożnego, ale nie magnackiej rodziny, odbywającego wielką podróż po Europie.

Od XV-go wieku aż do końca Rzeczypospolitej bardzo wielu młodych ludzi jedzie na studia do Włoch, a przedewszystkiem do Padwy i Bolonii, ale też do Rzymu, zwłaszcza do seminarjów duchownych. Ale nie brak też studentów polskich w Sorbonie. Przecież Jan Kochanowski należał do jej studentów, a gdy w r. 1646 dwaj bracia Sobiescy wybrali się na „wojaż” po świecie, zwiedzili przede wszystkim Niemcy, Holandję, Francję i Anglię. Jak wiemy późniejszy król polski zaciągnął się również do kompanji czerwonych muszkietierów kardynała de Richelieu, by i Bellonie francuskiej złożyć swój hołd. A ileż takich było młodych ludzi, którzy zawód wojskowy rozpoczynali od treningu zagranicą! Słynny w historii ze swego buntu Michał Głiński zaczął swą karierę od służby pod sztandarami Karola V w Hiszpanji i Niemczech, Lisowski, twórca „Lisowczyków” dobrze dał się poznać zachodniej Europie, jak również admirał Arciszewski i tacy inni. A gdy w połowie XVIII wieku stworzył Stanisław Leszczyński szkołę wojskową w Luneville, coraz częściej młodzież polska jeździła do Lotaryngji, by powiększać kadry tej szkoły. Wogóle Alzacja i Lotaryngja stały się w owym czasie jednym z najbardziej uczęszczanych turystycznych celów podróży, gdyż tam to właśnie robiono wielką politykę, mającą odbić się w naszej ojczyźnie i debrać koronę Sasom. W tymże jednak samym czasie również i Drezno stało się celem podróży dla przeciwnej znów strony, antagonistów Leszczyńskiego. Szosy i drogi prowadzące z Polski do krajów ościennych via Śląsk, Wrocław, Drezno, lub też Morawy i Wiedeń zapętliały się nieraz licznymi karetami prywatnymi lub pocztowymi, wiozącymi polskich turystów. Nieraz zjawiały się całe karawany, gdy jechał jakiś dostojnik, mający dobrze zaopatrzone trzosi i lubiący wystawność. Do takich wielkich podróżników, którzy olśnili zagranicę swoim wysta-

*Chcemy*  
  
SILNEJ FLOTY WOJENNEJ  
I KOLONIJ!



Pomnik kardynała Włodzimierza Czackiego, dłota Piusa Welońskiego, w kościele św. Pudencjanny w Rzymie.

pieniem należał Józef Aleksander ks. Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, eurydta wielki, ale też dziwak, szczodry, gdy chodziło o „postawienie się” lub naukową fundację, skąpy, gdy zaś rodzina prosiła go o jakieś ustępstwa. W Lipsku funduje on słynne do dziś dnia istniejące Towarzystwo Naukowe Jabłonowskich, w Paryżu zaśmieja salony paryskie swoją postawą i swojemi klejnotami, a pół Lotaryngli opowiada sobie o jego uczonych dysputach z „Stanislas le Bien-Aimé”. Ale i Rzym zna turystów polskich z najlepszej strony, to jest ich bogactwa i hojności. Przecież przyjmował już w swoich brudnych naówczas i zupełnie nie przypominających cesarów uliczkach poselstwo tego Ossolińskiego, co to gubił podkowy złote po różnych piazzach, przecież przez kilka lat patrzył się na wystawny tryb życia Marysieńki, która po śmierci bohatera z pod Wiednia tam właśnie rozbiła swoje koczo-wnicze namioty w jednym z pałaców rzymskich. Lecz i w Paryżu turyści polscy zwracają w tym czasie na siebie uwagę bogactwem strojów, zbyt kownym sposobem podróżowania. W tym kierunku pobił chyba rekord



Dziedziniec kolumnowy uniwersytetu w Padwie.



Powyżej: Fronton słynnej Sorbony, w której kształciło się wielu Polaków.

nych emigrantów. Na obczyźnie przecież powstają też najpiękniejsze utwory naszej literatury, bo i Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, jak również Cyprjan Norwid, Syrokomla i wielu innych pędzi tułaczy żywot. Zagranica oczywiście nie zawsze z równym entuzjazmem przyjmuje tych nowych turystów, pozbawionych nieraz środków do życia. Ale imię polskie tak długo już znane było na obczyźnie, że istnieją liczne nici, łączące kulturalnie Polskę z temi krajami. Żaden naród nie posiadał tak, jak Polska „turystyki politycznej”, dla żadnego też narodu częste wyjazdy zagranicę nie były tak jak dla nas chlebem powszednim. Ostatnim etapem tego podróżnictwa, to liczne skupienia polskich polityków i patriotów zagranicą podczas wojny światowej. Przecież siedziba Henryka Sienkiewicza w Vevey w Szwajcarii, jak również Paryż koncentrowały żywy ruch emigrancki w dniach, w których los Polski rozstrzygał się na polach bitew i w gabinetach dyplomatów.

Reasumując kilka wieków ostatnich naszej historii i przyglądając się wyprawom dawnych Polaków, dojdziemy do przekonania, że poza wiekiem XVIII w większości wypadków przodkowie nasi jeździli na „wojaż” z zgóry powziętym planem i traktowali podróż z właściwym zrozumieniem jako źródło nowych wiadomości i doświadczeń życiowych.

Jan Maleszewski.

Poniżej: „Collège de France” w Paryżu, w którym wykladał Adam Mickiewicz.



Na lewo: Wspaniały pałac rokokowy „Zwinger” w Dreźnie

młody ks. Adam Czartoryski, który zjawia się nad Sekwaną w 400 koni i 10 wielbłądami i 12 karetami w r. 1761. Oczywiście, że cały Faubourg St. German bał Wersal cały przygląda się z podziwem tym podróżnikom z dalekich krain, którzy występują z przepychem nieomal wschodnich władców. Oczywiście, że nie każdy Polak w równej mierze stawał się atrakcją zagranicą.

Wielu naszych rodaków udawało się też zagranicę, szukając zdrowia. Między licznymi kuracjuszami, którzy u wód w Karlsbadzie leczyli swe dolegliwości nie zabrakło również króla Michała Korybuta-Wisniowieckiego chorującego na wątrobę, a później w tymże samym Karlsbadzie leczyl się jeszcze wielu

wybitnych Polaków, łącznie z Mickiewiczem.

Lecz przyszły czasy gorsze: z własnej woli przebywający w Paryżu i zagranicą Polacy wkrótce stali się stałymi jej mieszkańcami, a coraz groźniejsze fale wydarzeń zapędzały naszych rodaków do Francji, Szwajcarii, Włoch i Anglii. Rozpoczęła się nowa, nieznana dotychczas w dziejach „turystyka przymusowa”, znacząca każde miejsce pobytu mniejszemi lub większemi wydarzeniami politycznymi. Polacy, lubiący wogóle podróżować, czynią to teraz z musu i wszędzie ich pełno. Paryż, Drezno, Bruksela, gdzie przebywa sędziwy historyk i mąż stanu Lelewel, Londyn, Bordeaux, Florencia, Rzym i tyle innych miast staje się celem podróży liczy-

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”

W KAŻDYM PORCIE DZIEWCZYNA

SLOWFOX

(FRAGMENT Z BALETU PARNELLA)

ZYGMUNT WIEHLER (1937)

1. *sfz*  
*sf Fine.*

*sfz*  
*Fine*

*sfz*

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



# ZŁOTA TABAKIERKA

## OBRAZEK

Nicea. Dobre, elegancka, międzynarodowa publiczność tańczy w Grand-hotelu w takt rytmicznych dźwięków wspaniałej orkiestry.

Melodyjny walc angielski kołysze elegancję pary; fraki panów to arcydzieła krawca londyńskiego, panie strojne w kosztowne, paryskie toalety. Atmosfera jest przemila. Rudawa, smukła kobieta króluje na sali. Czaruje uśmiech nie schodzi z jej warg. Ubrana jest z niezwykłym, nawet jak na to środowisko, szykiem. Nic w tem dziwnego: jest to żona milionera, nafiara Corvetti. Jej partnerem w tańcu jest attaché ambasady angielskiej. Onieśmielony wywnośnością swej danserki, zapomina, iż należy bawić ją rozmową.

Muzyka kończy walca, dyplomata całuje rękę pięknej pani, odprowadzając ją do stolika. Wtem zbliża się zadyszany nieco, opasły i szpakowaty jegomość. Nachyla się nad piękną panią Corvetti i szeptem jej coś do ucha. Madame Corvetti błędnie i przyciskając

dłoń do piersi, siania się i mdleje. Młody attaché chwytą ją jeszcze w samą porę w swe ramiona, obcy jegomość pomaga mu i we dwojkę wyprowadzają ją do biura dyrekcji hotelu.

— Jestem detektywem — legitymuje się grubas i powiadamia panią Corvetti, że jej przedostatni danser, Włoch, posadza ją o kradzież złotej tabakierki, która znikła mu z kieszeni kamizelki gdy tańczył z nią tango. Madame obraża się i broni energicznie, nie może jednak ująć dokładniej rewizji. Przetrasają suknie, bieliznę, torebkę. Tabakierki niema!

Teraz z kolei przedstawiciele policji zaczynają się usprawiedliwiać, przepraszają swe ofiary. „Wyjeżdżam jutro rano — oświadczają, łkając, piękna kobieta — za nic w świecie nie zostanę w miejscu, gdzie się tak niegodnie ze mną obchodzą”.

Do przedziału pierwszej klasy rannego pociągu Nicea—Paryż wsiada nazajutrz Mme Corvetti, w przepięknym stroju podróżnym. Jest jedyną pasażerką. Sadowi się wygodnie, rozcina nową książkę i zabiera się do czytania. Pociąg rusza. W drzwiach przedziału

staje — ku wielkiemu przerażeniu eleganczkiej damy — attaché angielski, z którym tańczyła wczoraj, zanim ją spotkała ta obelga.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzam — tłumaczy, ale nie mogłem oprzeć się chęci poznania pani bliżej, a dyrekcja hotelu poinformowała mnie o zamierzonym wyjeździe. — O Boże — lka Madame Corvetti. — Pan więc chce...

— Chcę podziękować za prześliczną papierosnicę — przerywa z uśmiechem młodzieniec — którą mi łaskawa pani podczas wczorajszego omdlenia tak zgrabnie wsunęła do kieszeni. Piękny podarek ucieszył mnie tem bardziej, że właśnie wczoraj obchodziłem moje urodziny.

Mme Corvetti nie jest w stanie wykrztusić słowa, zaś dyplomata ciągnie dalej:

— Omdlenie łaskawej pani było fikcją, ja zaś jestem zwolennikiem prawdy; czy wolno mi więc ofiarować, wzamian za wczorajszy upominek ten sznur pereł, ceny i prawdziwość? Sąsiadce mej z hotelu niejęskiego, hrabinie de Beuvignon będzie go niewątpliwie bardzo brakowało...

Hum. A. J.

Georges Neville.

Dokończenie ze str. 15.

Zato przez szerokie okna widać przytulne, małe, zasobnie urządzone wnętrza domków. O swój „home” nigdzie chyba nie dbają tak, jak na dalekiej północy. Trzy czwarte życia, a zwłaszcza długie ciemne miesiące zimowej nocy, upływają tu przy domowym ognisku.

Teraz jest lato, teraz całą dobę świeci wspaniale srebrzyste słońce. Właśnie w jego promieniach o 23-ej godzinie zwiędzamy miasto. Niepodobna spać; dla nas ludzi z południa niasamowite zjawisko słońca, krążącego bez przerwy po niebie, jest tak podniecające, że nikt nie może zmrzyć oka. Zresztą i mieszkańcy Hammerfestu chodzą grupkami po ulicach rozmawiając, śmiejąc się,

bawiąc. Nawet większość sklepów pozostaje otwarta do 23-ej, taki panuje tu zwyczaj podczas „midnatsol”.

Miasto roi się od cudzoziemców, prócz nas stoi bowiem w porcie wielki parowiec „Rotterdam”, jakoby jeden z większych pasażerskich stateczków holenderskich.

Wspominając minione cierpienia na falach oceanu Lodowatego, patrzę z zazdrością na jego kolosalny kadłub — ten z pewnością nie buja!

Po szerokich, porządnym i dziwnie smutnych ulicach idziemy w górę miasta — zdala, na zboczach gór widać szmaragdowe smugi krzaków, wyżej wznoszą się potężne, szare, nagie skały, prostopadłe, groźne, niedostęp-

ne. Za nami szafirowa toń morza i statki, stateczki, łódki, motorówki, kutry, kecze, cały ruchliwy, barwny port.

Nagle okrzyk zdumienia wyrwa się ze wszystkich ust: przez wielką wystawową szybę patrzy na nas świetnie wypchany — mors. Jego srebrzyste futro odbija od całych pęków wspaniałych skór, wiszących i leżących po bokach

Nie mogę się oprzeć pokusie, wpadam do wnętrza składu. Doprawdy, czegoś podobnego nie widziałam nigdy w życiu. Olbrzymie puszyste futra białych niedźwiedzi, srebrne, białe, niebieskie i czarne lisy, wspaniałe gronostaje, lśniące sealskiny, srebrne fok i wiele, wiele innych, których nawet nazw nie zdołałam zapamiętać. A ceny! Pięknie znaczony, wielki srebrny lis kosztował 380 zł.!

„Z rozpaczą w duszy” kupujemy — na miarę naszych kieszeni — rękawice futrzane i fok do nart (cena najlepszych 11 zł.) i nie oglądając się za siebie, wracamy na statek, który już głosem dzwonu daje sygnał odjazdu.

Niebotyczne, wprost z morza wystające szczyty piętrzą się wyniośle, surowe, obojętne. Zdala wydają się srebrne, lekko błękitne, przejrzyste i lśniące — potem ciemnieją... już są szare... już widać czarne rysy szczylin, zielone smugi brzoźowych krzaków i białe, śniegiem okryte wierchołki. Coraz nowe, coraz inne, coraz piękniejsze widoki przesuwają się przed olśnionymi oczyma, że w końcu już sił nie staje patrzeć, a niepodobna przestać i zejść do kajuty.

Wczesnym rankiem dojeżdżamy do maleńkiej przystani Skjervöy. Widzę na pomoście jakieś wielkie zwały... porąbanego drzewa? Nie! Skądżeby tu się mogło wziąć drzewo. — Wiórów?.. Dopiero znalazłszy się zupełnie blisko krzyknęłam: „ryby!” z takim akcentem radosnego odkrycia, że kilku marynarzy obejrzało się ze zdumienia.

Istotnie były to ryby! Wielkie, suszone, wyglądające jak pątyki — ryby. Całe ich stopy piętrzą się na brzegu, a dalej na łagodniejszym w tem miejscu zboczach stoją prosto lasy rusztowań, na których wielkie i małe, cienkie i grube wiszą rozciągnięte na patkach i przygotowane są na sprzedaż. Rybołówstwo to przecież jedyne zajęcie miejscowej ludności, a ryby najważniejszym przedmiotem handlu.

Na całej przystani, nad naszym parowcem krają stada wrzaskliwych mew. Cóż chwila zbliżają się do statku, to znów odlatują ku morzu, jakby zachęcając do dalszej drogi. I otoczeni białą, pierzastą chmurą ruszają dalej — po słońcem wysrebrzonej tafli — na zachód.

Marja Krzewska.



## Rok szkolny zakończony!

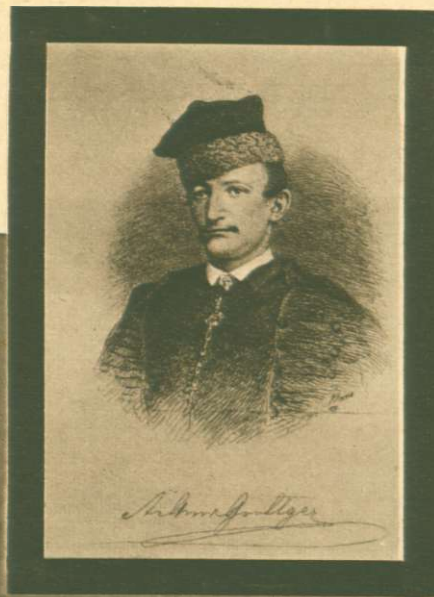
Szybko zapomina się o dniach pełnych trudu i mozolu, o całym roku wyczerpującej pracy. Ale i teraz kiedy dziecko używa w pełni swobody i zabawy, organizm jego wymaga troskliwej opieki. Dziecko nie powinno zużywać więcej energii, niż jej otrzymuje. Dlatego należy dać mu częściej Ovomaltynę — energiotwórczą odżywkę witaminową. Ovomaltyna oddaje nieocenione usługi, zwłaszcza w okresie wzrostu i rozwoju, dostarczając organizmowi dziecka najważniejszych substancji, niezbędnych do tworzenia krwi i mięśni i do budowy kości. Ovomaltyna jest bardzo smaczna i łatwa do przyrządzania w domu i na wycieczce.

Ovomaltynę przyrządzić można na ciepło lub na zimno w sposób bardzo łatwy i szybki w domu i na wycieczce. Sposób przyrządzania na zimno podany na opakowaniu.

# OVOMALTINE

# ARTUR

## WSPOMNIENIE



PRZEŁOŻYŁ  
WITOLD RYBCZYŃSKI

# GROTTGER

## F. M. A R E N

4-ty ODCINEK.

Predko list przebiegłam oczyma — tajemnic jeszcze nie miałam — było tam coś o Szwedce Riecken i o naszej ostatniej zabawie ogrodowej na probostwie, na której ona w zielonej sukni i w zielonym szalu, ja w różowej ubranej różami, staczaliśmy boje o Miethe, całą w bieli. Wszystko dziecinstwa, igraszki i przekomarzania się, ale jemu było to miłe; wziął list i zmierzzał ku wyjściu.

Nie wiem, jak się to stało, żeśmy wyszli przez otwarte drzwi salonu i zatrzymali się w zagłębieniu okna. Na dworze świecił księżyc i gwiazdy na jasnym niebie, rozpostartem nad ciemnymi dachami przeciwnych niższych domów. Staliśmy jakby na granicy pomiędzy niebem a ziemią, na pograniczu światła lampy i księżyca. Widziałam całkiem wyraźnie, jak jego postać, podwójnym oświetlona światłem, rysował się na jasnym tle firanki, z psem na smyczy, ze szpicrutą, ściskającą w ręce astrachańską czapkę.

— Więc w piątek — szepnął — w piątek popołudniu; choć to właściwie zły dzień.

— Ach — zaśmiałam się — dlaczego pan taki przesądny? Dzień ten musi być dniem dobrym.

— Miejsmy nadzieję, że nie będzie złą przepowiednią — rzekł poważnie, podając mi rękę, — a więc... do widzenia!

— Do widzenia! — Wzięłam jego rękę w moje obie ręce i wbrew etykietcie i całemu konwenansowi towarzyszyłam mu przez pokoje pośród gości, skłaniających się w milczeniu.

Skoro wróciłam, gwarany salon wydawał mi się głuchy i pusty. Wzięłam dopiero co otrzymane książki i — duchem nieobecna — przewracałam kartki wśród ogólnej ożywionej rozmowy. Moje oczy patrzyły na wszystko, jak na scenę w teatrze.

IV.

Było to w czwartek wieczorem.

— Jutro piątek — mówiłam do siebie — jutro on przyjdzie, będzie mi rysował, będę mogła patrzeć na niego, będę go widziała.

Zamknęłam oczy. Leżałam na sofie, znajdującej się obok mego ukochanego biurka, na którym już płonęła lampa, gdyż właśnie zmrok zapadał. Byłam

bardzo znużona; w dwóch dniach bowiem przeczytałam Wallenroda, Grążynę i Marję, polknawszy je łapczywie, jednym haustem, jak puchar mocnego wina. Leżałam oszolomiona, — a wiosenne ciepło osłabiało mnie.

Jak długo tak trwałam, nie wiem. Gdy otworzyłam oczy, spostrzegłam matkę, stojącą przed lampą i przyglądającą się dużemu, niezbyt zachęcającemu wyglądającemu listowi.

— List do ciebie — rzekła, — gdy podniosłam się, by go odebrać.

Co za szkaradne pismo. Od kogo to być może? Rozwinęłam dużą niebieską éwiartkę bez koperty, niedbale złożoną, zaklejoną opłatkiem. Przejął mnie wstręt na widok takiego niechlujstwa formy, brzydkiego pisma, złej ortografii i niezdarne go stylu. Wtem wzrok mój padł na podpis. Nie do wiary: Artur Grottgger!

Nie, to niemożliwe! Jakkolwiek nie miałam pojęcia o fizjonomice, o znajomości ludzi, ani o zależności pisma od charakteru, pewną byłam, że to pismo nie mogło pochodzić od Grottggera. Jednak trzeba było przeczytać. Matka czekała, by poznać treść listu, która była bardzo krótka. Artysta donosił, że nagły odjazd nie pozwala mu przyjść na jutrzejsze posiedzenie; parę niezdarne wplecionych uprzejmości i wyrazów ubolewania dopełniało całości.

To było w samej rzeczy dziwne.

Po chwili matka opuściła pokój z lekkim zadowoleniem. Zostałam sama. Obracałam kartkę na wszystkie strony, lecz nie stałam się przez to mądrzejsza. Zdawało mi się okropną profanacją sztuki, że taki świstek z ręki artysty wyjść może. Noc, która po tym wieczorze zapadła, nie należała do najspokojniejszych. Jakiś dziwny wewnętrzny niepokój ogarnął mną, niepokój, którego nie mogłam opanować.

Kiedy nazajutrz, w ten oczekiwany piątek o drugiej popołudniu stanęłam z rajsbretem w ręku w przedpokoju, by przez korytarz udać się do mego nauczyciela rysunków, nagle ktoś gwałtownie zadzwonił, jak to listonosze czynić zwykli. Szybko otworzyłam drzwi.

— List polecony do pamięci... (tu wy-

mienił nazwisko mojej matki), proszę podpisać recepis.

Ach! jaka miła ozdobna koperta, chociaż ciężka i grubo obciążona! Jakie piękne pismo! Jaka śliczna pieczęć herbowa! Jak wyraźnie było u góry na kopercie: Nadawca: Arthur Ritter von Grottgger.

To był prawdziwy triumf, to było zadośćuczynienie. Przychwyciłam matkę na fałszerstwie, a oto tu był dowód. Z niewypowiedzianą dumą udałam się do niej.

— Oto jest prawdziwy list Grottggera — powiedziałam i spokojnym już krokiem udałam się poprzez przedpokój korytarz na lekcję rysunków.

Wnętrze, do którego wchodziłam, było okropne, ale w danej chwili wielką sprawiało mi ulgę. Na mój dzwonek zjawił się gospodarz, by mi otworzyć. Niedbale odziany mężczyzna, w sile wieku, o bladej twarzy, przedwcześnie zmarszczkami pokrytej, z szorstką brodą i krętymi bardzo ezarnymi włosami. Był to mój nauczyciel rysunków, tak zwany „malarz akademicki“ obecnie fotograf. Dopóki nie pojawiły się wizytowe formaty, powodziło mu się dobrze; zarabiał niezłe kolorowaniem wielkich fotografii, co szczęściem dla niego odpowiadało płytkiemu smakowi ówczesnej mody. Natomiast późniejsza manja formatów wizytowych zrujnowała go. Był marnym fotografem, a z zakresu malarstwa rozumiał się tylko na kolorowaniu.

Przez pusty, słabo oświetlony pokój, zarzucony matrycami, ramami i częściowo pokolorowanymi fotografiami, przepojony przenikliwym odorem kuchni, zamienionej na ciemnię, przechodziło się do prawie zupełnie ciemnego pokoju, bez żadnych mebli, prócz kołyski i kilku parawanów. Zastawało się tam dziecko z trudem mieszczące się w kołysce, odziane w cienką bieliznę, w koronki i wstążki i oraz jasną postać kobiecą, która zazwyczaj umykała, chroniąc się za jednym z parawanów.

Była to żona „dama z teatru“ i dziecko, pamiątka po jakimś wielkim panu. Fotografowi, który ożenił się z miłości, danem było uczynić to odkrycie dopiero po ślubie; miał jednak na tyle dobre serce, by pod nieobecność matki piastować dziecko, jak swoje. Lekcje ry-

sunku, które brałam z powodu wygodnego sąsiedztwa, zupełnie mi nie zachwycały i były raczej aktem miłosierdzia.

W pokoju frontowym było przynajmniej jasne, piękne, miłe światło, które niestety oświetlało ustawiczny nieład. W roku fortepian — pani dość pięknie grała i śpiewała — przy oknie podjum do zdjęć, fotografje rozrzucone na stole, sztaluga... oto całe urządzenie.

Niechętnie, bez słowa usiadłam przed moim rajsbretem, podczas gdy mój nauczyciel stanął przy sztaludze. Rysowała studjum Julię, on malował obraz, przedstawiający pasterkę. Mój rysunek, wyobrażający jakiś wschodni typ z turbanem na głowie, w żaden sposób nie chciał czynić postępów, podobnie, jak jego pasterka nie miała zamiaru przybrać naturalnej pozy. Nie dziwnego, że w takich okolicznościach i pod takim kierownictwem rysowanie sprzykrzyło mi się, mimo lub raczej z powodu mego entuzjazmu dla sztuki. A dzisiaj, właśnie dzisiaj był dzień, w którym artysta, prawdziwy artysta, miał mię wziąć pod swoją opiekę. Z błękitnego nieba splotało ciepło wiosennego słońca, a w dole przelewało się, huczało i tętniło ruchliwe życie Wiednia, gdyż cały „Graben“ rozpościerał się pod temi oknami.

Nagle odezwał się dzwonek. Wątpiła żona fotografa ukazała się na progu i wręczyła mi mały listek. Przyniosła go nasza pokojowa. „Dla Panny Karoliny“ widniał napis na niezaklejonej kopercie, którą przysyłała mi mama, gdyż był to załącznik do jej listu. Wsunęłam pismo do kieszeni. Kolo mnie stała kobieta, którą pogardzałam; jak mogłam przy niej czytać coś, co było dla mnie drogie i święte? A kiedy tamta pochylała się niżej nad moim rysunkiem, zerwałam się i podeszłam do okna. Wychowana w północno-niemieckim rygorze, nie bardzo orjentowałam się w sytuacji. Nie rozumiiałam jej. Wiedziałam tyle, że ta pani stroiła się i szminkowała, pozostawiając męża samego z dzieckiem w tem strasznym mieszkaniu. W bardzo wczesnej młodości zbyt surowo potępiały błędy naszych bliźnich.

Byłabym chętnie odeszła, ale mama, która kazała napisać do mnie fałszywy list, również nie pociągała mię ku sobie. Zostałam chwilę i patrzyłam przez okno.

Gdy odwróciłam się, żona fotografa siedziała przed moim rajsbretem i z wielką wprawą kończyła próbę mej cierpliwości: model turbana, nad którym tak się mozoliłam. W każdym razie lepiej władała ołówkiem, niż jej mąż pendzlem.

Kilka książek leżało rozrzuconych po ziemi. Podniosłam pierwszą lepszą. Był to lihy przekład „Don Juana“ Byrona. Wówczas nie czytałam jeszcze tego autora po angielsku, a tłumaczenie oddawało jedynie dzięki nieokreślany cynizm, nie odtwarzając płomienego ducha oryginału. Po paru zwrotkach rzuciłam książkę — przejął mię dreszcz wstrętu. Mimo woli dotknęłam listu w kieszeni i szybko pożegnałam się.

Turban i rajsbret pozostały, a ja po raz ostatni przekroczyłam te progi. W dniu, w którym miało mi być dane czerpać z najczystszej źródła sztuki, postanowiłam tego brudu więcej nie dotykać.

Gdy wróciłam, mama — na szczęście — była w swoim pokoju. Pozostałam w salonie, na przeciwległym końcu mieszkania.

Dopiero teraz wyjęłam list i czytałam:

Człowiek strzela, a Bóg kule nosi — proste, ale prawdziwe przysłowie. Nieprzewidziane sprawy powołują mię do Warszawy. Muszę wyjechać w tak krótkim czasie, a tak wiele mam do załatwienia, że przyśse nie mogę. Musimy odłożyć nasze posiedzenia — być może, że wrócę niedługo.

Najserdeczniejsze dzięki za wszystko dobre. Całuję miłutkie ręce — a żeśmy młodzi jeszcze — do widzenia.\*)

Artur Grottger.

Fotografje przylącam.

Chwilę trwałam bez ruchu — po raz wtóry przeczytałam te wiersze — potem znowu i znowu... tak jest: „Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi“, a ten piątek był złym piątkiem.

V.

Minęło kilka dni, w ciągu których, z wyjątkiem koniecznych spraw, nie przymówiłam do matki ani słowa. Natomiast odbywałam tem dalsze i dłuższe spacerki. Pod tym względem wyniosłam z Hamburga, gdzie anglomania silnie panowała, zupełnie wymanypowane pojęcia. Podczas tych przechadzek byłam zupełnie niekrepowana, gdyż moja matka z powodu chorej nogi rzadko dom opuszczała i to tylko w powozie; to też mogłam często odwiedzać moich dziadków, którzy mieszkali na górnym końcu Hengasse.

Od Grabenu do Belwederu jest ładny kawałek drogi, jednak przebiegałam go szybko i z przyjemnością. Nie wydawało mi się to wielką odległością, a Belweder i jego otoczenie stały się dla mnie ulubionem miejscem przechadzki. Przynętą był również stosunek, jaki mię łączył z macochą mej matki. O wiele młodsza od mamy wychowywała mię, a obecnie stała się moją powiernicą. To też spowiadałam się przed nią ze wszystkich moich smutków i radości. Tak tam było spokojnie i cicho, tak przytulnie w schludnie utrzymanem mieszkanku, w którym meble, obrazy i wszystkie przedmioty przypominały czasy mego najwcześniejszego dzieciństwa. Wówczas to macocha mej matki, piękna i całkiem młoda jeszcze blondynka, brała udział w moich wybrykach i wraz ze mną bawiła się dużą wiedeńską lalką, podczas gdy ukochany dziadek siedział w swoim wielkim fotelu, zupełnie jak dzisiaj, z tą jedynie różnicą, że przed laty nie wystarczał mi cały zasób jego bajek, a obecnie, przeciwnie, on ustawicznie domaga się ode mnie wiadomości i nowinek.

Kiedy tak siedziałam przy oknie obok babki, pracowicie migającej igłą, a zegar, stary znajomy, niestrudzenie poruszał wahadłem w swym złoconym domku, i kiedy wzrok mój błądził swobodnie aż do raabskiego i południowego dworca, hen poza arsenal, kędy Belweder przesłaniał horyzont — wówczas było mi o wiele miłej i przytulniej, niż tam, w świeżo umeblowanem mieszkaniu, z całym zgiełkiem ulicznym, z wiecznym mlynem ciągłych wizyt, z lekcjami i nauczycielami języków i muzyki.

Tu czułam się swobodną i nieskrepowaną, tu mię nie dręczono, ani mię musztrowano, tutaj mogłam okazać, co czuje, i przedstawić się taką, jaką jestem. Zaraz na wstępie rzucałam się

\* Słowa, przytoczone w oryginale po polsku.

na szyję mojej jasnowłosej babce z okrzykiem: oto jestem. Potem zdejmowałam wierzchnie okrycie, kapelusze i rękawiczki, całowałam ze czcią rękę starszego pana, poczem rozgospodarowywałam się na pół lub cały dzień w jasnym obszernym pokoju.

Kiedy skończyłam z nowinami, zabierał głos dziadek, opowiadając o tem, co donosiły gazety i o czem sądził, że mię interesuje, gdyż codziennie czytał Fremdenblatt i Morgenpost. Tu zapoznawałam się z obu dziennikami, jak wogóle z gazetami. W domu prenumerowano starą Presse i Neue Freie, lecz — jak już wspominałam — byłam w tym szczęśliwym wieku, w którym dziennik wydawał się rzeczą najbardziej zbyteczną na świecie, nie wzbudzającą żadnego zainteresowania.

Czasami, gdy byłam w dobrym humorze, czytałam babce ten lub ów „ciąg dalszy“ zaczętej w dzienniku powieści, lecz rychło nabrałam takiego wstrętu, że potem nikt i nie mogło mię skusić do uprawiania tego rodzaju lektury, którą zastąpiłam emocjonującymi i pełnymi tajemniczości powieściami Spindlera.\*)

Rzecz naturalna, że w dniach, które nastąpiły po otrzymaniu prawdziwego listu od Grottgera, i po całej tej aferze nie byłam usposobiona ani do czytania ani do słuchania dzienników i uczułam się bardzo zaskoczona, gdyż dziadek podał mi Fremdenblatt z uwagą, że specjalnie dla mnie ten numer zachował.

Ciekawość moja odrazu wzrosła niepomierne, kiedy, rzuciwszy okiem na artykuł, ujrzałam nazwisko Artura Grottgera. Było tam przez dwie długie szpalty o nim i o jego „Warszawie“.

„Artur Grottger — było tam napisane między innymi — nie może zaprzeć się swej narodowości. Odważny, jak ona na polu bitwy, dokonał na polu sztuki prawdziwej szarży ułanńskiej, jak to tylko genjusz potrafi i jak tylko genjuszowi udać się może...“

Taki mniej więcej był wstęp i w tym tonie szło dalej. Wystawienie bowiem pierwszego cyklu rysunków stało się wydarzeniem artystycznym. Były to ryciny, o których wspominał, opowiadając, że stworzył je tylko dla siebie pod wpływem najgłębszego uczucia. Nie chciał ich wystawiać, gdyż wątpił, czy zainteresują szerszą publiczność, aż mu je przyjaciele potajemnie wykraść musieli. Był to ów cykl, którego siedem małych kartonów natychmiast za siedemset florenów zakupione zostało\*\*). Rysunki, które uczyniły malarza, znanego jedynie szupłemu gronu rodaków i artystów, „sławnym“ na całe miasto, początkującego „skończonym“, dojrzewającego „dojrzałym“. Wyniosły na światło imię Artura Grottgera z spośród plejady pograżonych w ciemności adeptów, a imię to zaniosą na ojezyste niwy i poza granice państwa do rzeczywistej Warszawy.

Tego wszystkiego naturalnie nie mogło być w artykule; ale to, co było, wystarczało, by mię oszołomić. Tak! on jest genjuszem! To było tu jasno napisane; a ja go znałam, dotykałam jego ręki, tak swobodnie z nim rozmawiałam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

\*) Powieściopisarz niemiecki (1796—1855) prz. tłum.).

\*\*\*) „Warszawa I“ zakupił hr. W. Dzieduszycki za cenę 600 fl. (prz. tłum.).





# PORANNA GIMNASTYKA

## Z POMOCĄ KTOREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

### Ćwiczenie VIII.

Omawiając w naszych tygodniowych lekcjach gimnastycznych różne błędy budowy ciała i sposoby, z pomocą których dążymy



Wadliwe umieszczenie punktu ciężkości jest powodem tego złego trzymania się.

do naprawy tych błędów lub przeciwdziałamy ich powstawaniu — dochodzimy do przyczyn t. zw. brzydkiego trzymania się, które nieraz powstaje wskutek nieprzygotowania mięśni do pokonywania pewnej pracy, związanej n. p. z noszeniem jakichś ciężarów. Osoba, posiadająca niewyćwiczone mięśnie ramion i bioder, przekrzywia swą postać w chwili ujęcia ciężaru przez jedną z rąk, a czyni to dlatego, aby utrzymać równowagę ciała przez przesunięcie t. zw. punktu ciężkości. To przekrzywienie, jeśli powtarza się częściej, może doprowadzić do powstania błędu, trudnego do usunięcia i wpływającego, rzecz prosta, ujemnie na wygląd całej postaci.

Jak widzimy na zamieszczonej obok fotografii, ciężar kilku zaledwie książek zmusza przedstawicielkę „płci słabej“ do przybrania bardzo nieestetycznej pozy. Aby temu zapobiec służy specjalne ćwiczenie, uwidocznione na drugiej fotografii, które zmierza do wzmocnienia muskulatury ramion i bioder. Rozpoczyna się ono w pozycji stojącej podniesieniem prawej ręki w górę, poczem następuje przegięcie ciała w lewo tak daleko, jak tylko możemy utrzymać równowagę bez uciekania się do pomocy nóg, które pozostają na miejscu nie poruszone przez cały czas ćwiczenia (patrz fotografia), podczas gdy prawe biodro zostaje wysunięte na zewnątrz. To samo ćwiczenie powtarzamy lewą ręką i przegięciem ciała w prawo

Ćwicząc pilnie, dochodzimy do usamodzielnienia się przedewszystkiem mięśni biodrowych i co zatem idzie osiągamy możność noszenia ciężarów bez przekrzywania ciała.

nienia się przedewszystkiem mięśni biodrowych i co zatem idzie osiągamy możność noszenia ciężarów bez przekrzywania ciała.



A oto ćwiczenie, które wzmacniając mięśnie bioder i ramion uniemożliwia wadliwe umieszczenie punktu ciężkości.

*Lamigłówni mody męskiej.*



Coraz więcej pasków

POZIOMYCH

Zagranica sygnalizuje ukazanie się wzoru, złożonego z pasków horyzontalnie biegnących, a ozdabiającego już nie tylko pullowery, ale i koszule, przedewszystkiem sportowe; ostatnio zaś nawet te, które nosimy do marynarek w mieście.

Istny przewrót — pomyśli niejedyn „eleganctwicz“ — A przecież w tej „nowości“ doprawdy niema nic nowego. Dawniej noszono bowiem już takie poziome paski jako wzór na koszulach, a jeśli je zarzucono, to tylko dlatego, ponieważ okazały się niezręczne dla bardziej korpulentnych — poprostu poszerzały się jakies prawa i prawdopodobnie dla tych moda okazała się łaskawa, wprowadzając coś, co pokryje niedomagania ich figur. Taka fatamorgana dla pięknych pań.

Kto jednak nie pretenduje do miana Iwa salonowego i komu chodzi wyłącznie o ożywienie swego dressu w sposób oryginalny, ten bez względu na to, czy jest gruby, czy chudy zdecydowanie się napewno na tę „nowość“ i wprowadzi do swego białozłocistego repertuaru horyzontalne paski.

Brummel.

Poziome paski coraz częściej ożywiają jako wzór już nie tylko koszule sportowe, ale i te, które nosimy do marynarek w mieście.

# ŻYCIE

towarzystwie artystyczne

ŚLUB W POLSKIEJ ARYSTOKRACJI

W starodawnej siedzibie rodziny Stadnickich — Nawojowej odbył się dnia 24 ubiegłego miesiąca ślub ks. Adama Czartoryskiego, syna b. senatora R. P. ks. Wiktora, właściciela dóbr Pełkinie w powiecie jarosławskim i ks. Jadwigi z hr. Dzieduszyckich z hr. Jadwigą Stadnicką, córką hr. Adama i Stefanii z ks. Korybut-Woronieckich. — Związek pobożności sławiony został w kościele miejscowym przez brata pana młodego, księdza Jerzego Czartoryskiego w asystencji księdza



Cieńskiego, oraz O. Michała Czartoryskiego. Na uroczystość przybyli liczni reprezentanci spokrewnionych rodzin, a przede wszystkim książąt Czartoryskich, hr. Stadnickich, hr. Dzieduszyckich, hr. Krasieńskich, ks. Korybut - Woronieckich, ks. Druckich-Lubeckich, ks. Sapiechów i wielu innych. Barwne, polskie kontusze, wraz z mundurami wojskowymi gości, tworzyły piękny obraz. Na zdjęciu młoda para, przechodząca z kościoła pod skrzyżowaniem szablami i karabelami gości weselnych.

„JASKÓŁKA Z WIEŻY MARJACKIEJ” JEANETTE MAC DONALD WYCHODZI ZAMAŻ



Teatr krakowski im. J. Słowackiego wystawił ostatnio wodewil Konstantego Krumłowskiego p. t. „Jaskółka z wieży Marjackiej”. — Utwór osnuty jest na fcie wydarzeń w październiku 1918 r., gdy Kraków odzyskiwał wolność. Wodewil otrzymał świetną oprawę malarzką Tadeusza Orłowicza. Na zdjęciu: scena na szczycie wieży Marjackiej.

PORANEK TANECZNY



W ramach „Dni Krakowa” odbył się interesujący „Poranek Muzyki i Tańca”, w którym wziął udział zespół baletowy szkoły p. Marji Mikuszewskiej. Występ utalentowanych tancerek, które wykonały różnorodny i trudny program, spotkał się z aplauzem publiczności. Na zdjęciu: zespół p. Mikuszewskiej w efektownej pozie tanecznej



Wielką sensację nie tylko dla Hollywood, ale całych Stanów Zjednoczonych stanowi małżeństwo ulubionej artystki Jeanette Mac Donald ze znanym amantem filmowym, Gené Raymondem. Na naszym zdjęciu roześmiana młoda para opuszcza urząd stanu cywilnego w Hollywood.

# KOSTJUMY KĄPIELOWE?



**JAKIE BĘDZIEMY NOSIĆ**

Na lewo: Po kąpeli przyjemnie jest wypocząć na leżaku. Przy ciemnych włosach i śniadej karnacji biały kostjum z oryginalnym paskiem wygląda niezwykle efektownie.



W kole: Gwiazdy amerykańskiego ekranu Gloria Stuart i Binnie Barnes odpoczywają po trudach pracy filmowej na kalifornijskiej plaży. Stroje plażowe obu gwiazd są równie oryginalne, jak ekscentryczne.

Na lewo: Trzy amerykańskie gracje, z którymi Parys miałby dużo kłopotu, chcą jednej z nich przyznać złote jabłko! Obrazek oczywiście z Florydy.



**O**wszystkiem wolno zapomnieć jadąc nad morze, tylko nie o kostjumie kąpielowym! Stanowi on podstawę naszego stroju plażowego i najważniejszy punkt programu w naszej wakacyjnej garderobie. Kostjum kąpielowy niezbędny jest nawet dla tych kobiet, które nie umieją pływać a nawet nie mogą z jakiegokolwiek powodów zażywać przyjemności morskiej kąpeli. Stanowi bowiem najwygodniejszy strój do kąpeli słonecznych, do gimnastyki i gier sportowych na plaży.

Kostjумы dwuczęściowe, złożone z majteczek i staniczka, już się trochę przeżyły. Zamalowano pamiętano o tem, że nadają się one wyłącznie dla osób bardzo młodych, bardzo zgrabnych i bardzo szczupłych i stosując go bezkrytycznie — obrzydzone go nam. Wolimy w tym roku klasyczny, obojętne, krótki trykot, w miarę odsłaniający wdzięki, a przez swą jednolitą linję, wysmuklający i korzystnie modelujący sylwetkę. Za to widzimy ogromną różnorodność w materiałach (wełna, bawełna z jedwabem, laste i t. p.) w deseniach (kropki, pasy, kratki) i ściągach trykotu. Wszystkie kolory są dopuszczalne, choćby najjaskrawsze, ale najładniej i najkorzystniej dla figury wyglądają kolory ciemne, jak granat, szafir i cie-

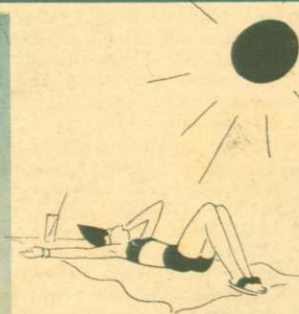
mny pas, a najeleganciej i najmłodziej — kolor biały, ale pod warunkiem, że sylwetka odznacza się wyjątkową smukłością. Na tle złotawego piasku i błękitu morza ślicznie też wygląda kolor żywo pomarańczowy, zbliżony do odcienia cynobru. Naturalnie przy wyborze koloru musimy uważać, aby harmonizował on z płaszczem kąpielowym, względnie plażową suknią czy kompletem, którego stanowi ważną część składową.

A więc czempredzej dokonajmy wyboru wśród tak licznych i efektownych kolorów i fasonów, zapakujmy do kuferka dwa lub trzy kąpielowe kostjunki i jedźmy nad morze po odpoczynek, młodość i zdrowie.

### Lady Like.



Na lewo: Oto nowoczesna nąjada, wynurzająca się z fal morskich, która jak widzimy chętnie zabawia się olbrzymią piłką. Gładki, ciemny trykot, w duże grochy, uwydatnia wdzięk młodej sylwetki..



Jednym z punktów repertuaru plażowego są oczywiście słoneczne kąpiele, do których można używać fantazyjnych kostjumów jedwabnych, nie nadających się zresztą do kąpieli (artystki Janice Jarwatt i Emily Lane).

Na prawo: Wytworny kostjum kąpielowy o oryginalnym pasku z klamrą w kształcie łodzi żaglowej. Jedwabnuchusteczka z daszkiem od słońca uzupełnia piękną całość.



Od lewej: Oto praktyczny kostjum z białej wełny, tkanej porowato w drobną wypukłą kratkę. Nie nasiąka on wodą i prędko wysycha. Konieczny jest w tym wypadku kolorowy pasek. — Jakaż radość życia promieniuje z tej smukłej postaci! Zgrabny granatowy kostjum ożywia pasek i ramię z plecionego trójbarwnego warkocza z wełny.

# PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3-4 osoby.

**CHŁODNIK LITEWSKI.** Litra mleka zsiadłego i 1/4 litra śmietany kwaśnej ubijać miotką aż się spieni. Osobno zagotować pół litra kwasu ogórkowego lub głąbikowego, albo też barszczu burakowego, ostudzić i zmieszać z mlekiem, dodać łyżkę siekanego kopru, surowego ogórka, pokrajanego w plastry i sparzonego czarna, osoloną wodą, parę ugotowanych i pokrajanych buraczków, 2-3 jaj na twardo ugotowanych, pokrajanych w ćwiartki. Jako dodatek nadają się też szyjki rakowe lub kawałek pieczeni cielęcej, pokrajanej w kostkę. Skontrolowałwszy smak, stawia się chłodnik do lodu na godzinę.

**SOS CZERESŃNIOWY DO OZORA LUB DZICZYNY.** Z łyżki smalcu wieprzowego, 2 łyżek mąki i łyżki cukru sporządza się ciemniejszą zasmażkę, zalewa wodą i miesza na ogniu, aby była gładka, potem dodaje się: 4 łyżki tartego piernika, 4 pełne łyżki wydełowanych ciemnych trzcin, podgotowanych przedtem z troszką wody, listek bobkowy, 5 ziarn angielskiego pieprzu, sok i obarta skórka z cytryny, 4 łyżki mielonych orzechów i kieliszek czerwonego wina. Sos po zagotowaniu należy przefasować przez durszlag i w razie potrzeby rozrzedzić rosółem. Podawać można ciepły lub zimny.

**FILETY SARNIE Z BURACZKAMI.** Z dobrze skruszonego combra sarniego wykrawa się okrągłe filety, zbija je pałką, kropi cytryną i smaruje oliwą lub szpikuje młodą słoniną. Z podłużnej bułki kraje się okrągłe grzanki i wysmaża je na maśle. Również przygotowuje się puree z gotowanych buraczków, podprawia je zasmażką, solą, cukrem i cytryną. Usmażone, jak befsztyki na rozpalonym maśle filety sarnie, układa się wokół puree buraczanego, ułożonego kopałto na środku półmiska. Między jeden a drugi filet, kładzie się usmażoną grzankę. Wszystko oblewa się buljonem, zagotowanym z kieliszkiem madery i podaje bardzo gorące.

**MACEDOINE Z JARZYN.** Różne jarzyny, jak: szparagi, kalafior, kalarepka, fasolkę szparagową, zielony groszek ugotować każde z osobna w słonej wodzie, odczłodzić i pokrajać drobno. Wystudzone miesza się z kilku łyżkami gęstego majonezu, nakłada do formy, wysmarowanej oliwą i stawia na lodzie. Wyrzucone z formy na środek półmiska, okłada się plasterkami zimnego mięsa lub wędlinami.

**KOTLECICKI Z GRZYBKÓW.** Do sporządzania tej potrawy nadają się każde grzyby jadalne, mię musza być koniecznie prawdziwe borowiki. Grzyby (mp. podpieńki (doskonale), niesłusznie pogardzany grzybek), oczyszczone i drobno pokrajane, dokładnie wymyte, wkłada się do ryneczki, dodaje łyżkę masła i drobno skrajaną cebulkę i dusi do miękkości na małym ogniu bez wody, wzgl. bardzo lekko podlane. Do uduszonych i trochę ostudzonych grzybków dodaje się kilka łyżek zielonego groszku, osobno uduszonego tylko z wodą i solą, kilka drobno pokrajanych szyjek rakowych, soli i pieprzu oraz siekanej, zielonej pietruszki, 1 jaję i tyle tartej bułki, aby masa nadawała się do formowania kotlecików. Wymażone szybko w mieszanym tłuszczu podaje się z młodej ziemniaczkami lub kaszką krakowską.

**BUCHTLE CZERESŃNIOWE Z CZEKOLADĄ.** Z 2 dkg drożdży, paru łyżek letniego mleka i mąki, sporządza się rozczyn, który musi w cieple wyrósć do podwójnej wielkości. Dalszemi dodatkami są: 32 dkg mąki, 1 jaję i 1 żółtko, łyżeczka soli, tyleż rumu, 6 dkg cukru, 8 dkg masła. Wszystko razem wybija się z dodatkiem odpowiedniej ilości letniego mleka na całkiem wolne ciasto, które się wałkuje, odcina kawałki, smaruje rozpuszczoną czekoladą, nakłada po 4 wydełowane czereśnie, posypuje cukrem, zwija w buchtę, macza w maśle i układa w formie lub rondelku. Po wyrośnięciu piecze się je, rozdziela i posypuje na spodniej stronie suto cukrem z wanilią.

**TORT AGRESTOWY Z PIANKĄ.** 10 dkg posolonego masła, 15 dkg mąki, 5 dkg cukru, 2 dkg lupanych, mielonych migdałów, 3 twarde żółtka, przetarte przez sito, zagniata się na ciasto (w razie potrzeby, o ile ciasto za twarde, można dodać łyżkę kwaśnej śmietany). Ciastem tem wyklada się formę kwadratową i piecze na białe złoty kolor, następnie nakłada na grubość palca agrest, poprzednio z cukrem na gęsto ugotowany. Na wierzchu kładzie się piankę merengową, ubitą z 3 białek i kilku łyżek mączki cukrowej, posypuje siekanymi migdałami i zapieka w piecyku.

**TORT PORZECZKOWY T. ZW. „MARIENBADZKI“.** 12 łyżek masła uciera się na pianę, dodaje po jednym 3 żółtka i po łyżce 12 dkg mączki cukrowej, sok i skórka z pół cytryny, wkońcu 20 dkg mąki, zmieszanej z pół łyżeczki proszku do pieczenia i pianę z 3 białek. Masę tę nakłada się do formy tortowej, piecze niezupełnie, następnie wysypuje na wierzchu dość grubą warstwę porzeczek, obranych z szypulek, posypuje cukrem i dopieka w gorącym piecyku. Wystudzony tort pokrywa się cukrzoną, bitą śmietanką.

Se. Ko.



Obok zreprodukowana łopátka do kurzu ma tę przewagę nad dotychczas używanymi, że posiada rodzaj ochraniacza, nie pozwalającego na wysypywanie się kurzu drugą stronę, co się zazwyczaj dzieje przy łopatkach zwykłego typu.

## NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Nowe modele zapaln'czek, które widzimy na zdjęciu, odznaczają się praktycznością i oryginalnością. — „Gracz w golfa“ i zapalniczka w kształcie sheckera do cocktaili posiadają miniaturowe bateryjki elektryczne, pierwszą zapala się przez pocieranie, drugą przez otwarcie wieczka.

## 7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNII

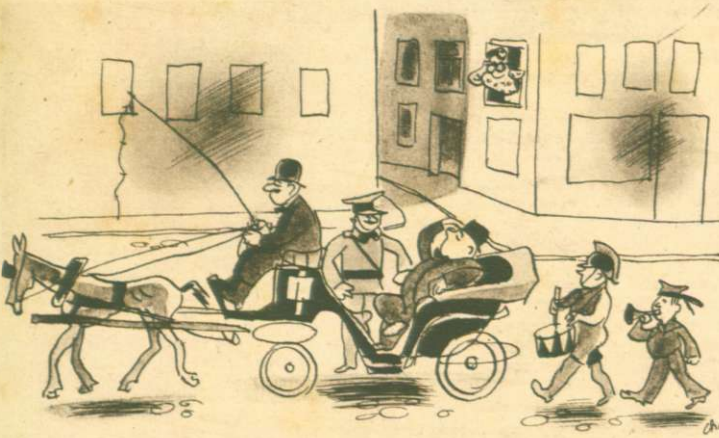
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 28		Lipiec		31 dni
NIEDZIELA	4	Józefa Kal.	Bulion w filiżankach na zimno. Budyń jarzynowy. Filety sarnie z buraczkami. Tort porzeczkowy z bitą śmietaną. Kolacja: Zimny półmisek salami, jaja na twardo, sery, rzodkiew, zielona sałata.	
PONIEDZ.	5	Filomeny p.	Chłodnik litewski. Jaja panierowane z sałata. Ozór z sosem czereśniowym. Placek z jagodami. Kolacja: Risi-bizi / ryż z zielonym groszkiem/	
WTOREK	6	Izajasza pr.	Krupnik na śmietanie. Kalarepka faszerowana. Kaczka z duszoną kapustą. Buchtle z wiśniami. Kolacja: Macedoine z jarzyn.	
ŚRODA	7	Pulcherji p.	Zupa borówczanka z grzankami. Kotleciki z grzybów z ziemniaczkami. Zrazy naturalne z sałata mieszana. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Kalafior z ryżem.	
CZWARTEK	8	Elżbiety kr.	Zupa makaronowa w śmietanie. Omlet z szpinakiem. Kurczęta pieczone z mizerją. Kompot mieszany. Kolacja: Ziemniaczki z kwaśnym mlekiem.	
PIĄTEK	9	Luizy, Weroniki	Barszcz zabielały z twardym jajem. Makaron z serem zapiekany. Ryba w galarecie z majonezową sałata jarzynową. Placek drożdżowy z wiśniami. Kolacja: Jaja sadzone w szpinaku.	
SOBOTA	10	Amalji p.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z zimnym sosem szczypiorkowym. Rozbratle duszone lub kotlety cielęce z sałata. Krem agrestowy z keksami. Kolacja: Ryż z kremem poziomkowym.	

# HOCKI-KLOCKI

ECHA KORONACJI.

WYSTAWA PARYSKA W NOCY.



— Mój panie, cóż to za maskarada?  
— Urządzam poprostu próbę wyjazdu na urlop!

Rys. Charlie.



Dwa pawilony...

Rys. Charlie.

## Dokończenie z str. 10-tej.

powolne zdobywanie stanowisk i radości życia. Pewnego dnia los dał panu wszystko, o czym pan może zamarzyć. Majątek, stanowisko, ma pan młodość i urodę. To może człowiekowi przewrócić w głowie.

— O, oto się nie boję — przerwał Artur prawie obrażony.

— Tak się panu zdaje. Tęszsze głowy pały ofiarą tych pozorów. Bo widzi pan, właściwie to wszystko jest tylko kompozycją okoliczności, fatamorganą życia, nie rzeczywistością.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której obie strony przygotowywały się do walki. Lord Artur, przeczuwając jakąś klęskę, zbroił się w swe zasady, skupiał się, przypominał sobie swoje życiowe wytyczne. Patrycja gromadziła argumenty.

— To, co panu powiem, będzie ostrzeżeniem. Niech pan posłucha: Matka pańska była uroczą kobietą, pełną wdzięku, gracji, jedną z tych, które rodzą się tylko po to, aby błyszczeć, bawić się i stać się drogocennym klejnotem w drogiej oprawie. Tej oprawy jednak ojciec pański nie mógł jej dać.

— Tak, ojciec całe życie walczył z trudnościami życiowymi... wtrącił w zamyślenie Artur.

— Walczył, ale nie zdołał zwyciężyć. Natomiast stryj pański, ten, po którym pan wziął majątek i tytuł, był człowiekiem bogatym. Znał się na życiu, cenił jego uroki i kochał piękne kobiety. Otóż stryj pański, poznawszy pańską matkę, zakochał się w niej jak szaleniec.

— Pani obraża i mnie i mego stryja, który nie może się bronić! Artur spojrział na lady Patrycję z oburzeniem i zdziwieniem, jakby spostrzegając dopiero, iż miał do czynienia z kobietą, nie łączącą się ani z słowami, ani też czynami.

— Drogi panie! Wszystko, co panu powiem będzie obrażało pańską rodzinę. Mimo to radzę słuchać cierpliwie.

Znowu nastąpiła chwila milczenia. Oczy Artura coraz bardziej nabierały wyrazu przeżalenia.

— Ojciec pański, będąc coraz bardziej zmęczonym życiem i walką o byt, wykorzystwał miłość swego brata do żony. Matka pańska była kobietą piękną i zasadniczo dobrą:

ale była to osoba, która nie ma własnego życia, jest tylko ozdobą życia innych. Jak kwiat, który znosi pieczytły tych, którzy go kupili... Jedynym jego zadaniem jest czarować.

— Skąd pani to wszystko wie? Jak pani może takie rzeczy mówić? — jęknął głucho lord Artur Craig. — Kim pani jest, aby mnie tak męczyć?

— Kim jestem, lordzie Arturze? Jestem osobą, której pański stryj poświęcił kilka lat życia, po śmierci pańskiej matki. Mnie to stryj pański zapisał cały swój majątek. Dopiero w ostatniej chwili, jakby naraz odnalazł cały zatracony w życiu sentymentalizm, przypomniał sobie pana i panu zapisał swój majątek. Panu, swemu synowi!

— Swojemu synowi? Mnie?

— Tak, swojemu synowi, gdyż jest pan dzieckiem swego stryja. — Wyjęła z papierośnicy papierosa i zapaliła go, puszczając duże koła dymu przez uróżowane usta. — Widzi pan, lordzie Arturze: mimo całą swą prostotę uczuć, mimo pańską uczciwość i chęć walczenia w życiu rycerską tylko bronią, znalazł się pan, ni stąd ni zowąd, w kręgu brudów, kombinacji, intryg... Przyniosło to panu duży majątek, to prawda... Ale...

Artur objął czoło rękoma, jakby starając się wstrzymać bieg myśli, które w szalonym rytmie rozsadały jego czaszkę. Milcząc wpatrywał się w jakiś kwadrat posadzki. To, co usłyszał od lady Patrycji, podważyło jego wiarę w świat, w ludzi, w siebie samego. Co robić? Jaką wybrać drogę?

Ktoś stanął w progu. Była to lady Stanhope.

— Gdzie pan przepadł, lordzie Arturze? Chciałam pana przedstawić kilku moim przyjaciółkom i wszędzie pana szukam.

Lord Artur ciężko wstał z fotela.

— Pani wybacz, ale pewne okoliczności niespodziewane, zniewalają mnie opuścić ten miły, gościnny dom państwa. Bardzo mi naprawdę przykro, bo od pierwszej chwili naszej znajomości poczułam dużo sympatii dla pani i dla jej męża. Dla dokładności — kończył z bolesnym uśmiechem — chcę podkreślić, że nie jestem lordem, gdyż spadku po mym stryju nie przyjąłem!

Uklonił się lady Stanhope i wyszedł z buduaru, zostawiając zdziwioną panią domu i jej przyjaciółkę.

## Rozwiązanie z N-ru 26-go.

### TABELA LIGOWA.

Przed meczem:

przy 0:0	przy 1:1
Wisła 20:4 = 5	21:5 = 4,2
Cracovia 24:5 = 4,8	25:6 = 4,1666
przy 2:2	przy 3:3
Wisła 22:6 = 3,6666	23:7 = 3,28
Cracovia 26:7 = 3,71	27:8 = 3,37

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### ZIEŁONE KRZYŻYKI.

Pewien profesor logiki poszukiwał sekretarza. Z wielkiej ilości kandydatów, wybrał wszystkich trzech do jednego pokoju i rzekł trzem najinteligentniejszym. Wprowadził

— Jesteście panowie inteligentni; jednak chciałbym, na podstawie pewnego tekstu wybrać najinteligentniejszego z was: mam tutaj dwa kawałki kredy: biały i zielony. Każdemu z panów narysuję na czole bądź biały, bądź zielony krzyżyk. Gdy to zrobię każdy z panów winien popatrzeć na swych towarzyszy i natychmiast, po ujrzeniu na czole przynajmniej jednego z nich zielonego krzyżyka, podnieść rękę do góry. Gdy tylko któryś z panów wywnioskuje, jakiej barwy jest krzyżyk na jego własnym czole, niech podniesie obie ręce. Jeśli inteligentnie wyjaśni, przy pomocy jakiego rozumowania ustalił barwę krzyża na swoim czole, otrzyma posadę.

Gdy młodzi ludzie zrozumieli, o co profesorowi chodzi, narysował on na czole każdego z nich zielony krzyżyk. W tej chwili wszyscy trzej podnieśli jedną rękę do góry i niemal jednocześnie jeden z kandydatów podniósł i drugą rękę.

— Oh — zawołał profesor — jaki krzyżyk ma pan na czole?

— Zielony, profesorze.

— Jak rozumował najbystrzejszy z trzech panów?

### PRACA.

Alfred i Bolek wykonują pewną pracę razem w ciągu 24 dni. Jeśli Alfred może wykonać tylko 2/3 roboty, wykonanej przez Bolka, w ile dni każdy z nich z osobną może wykonać tę pracę?

### SIEDMIORO DZIECI.

Czterech chłopców i trzy dziewczynki siedzą w jednym rzędzie bez żadnego specjalnego porządku. Jakie jest prawdopodobieństwo, że dwoje dzieci, siedzących na końcach szeregu, jest dziewczynkami?

# TO WOLNO POZNAĆ...

## NA SCENIE.

W Warszawie w Teatrze Polskim w dalszym ciągu cieszy się powodzeniem sztuka Adolfa Nowaczynskiego p. t. „Cezar i człowiek”, w której jedną z głównych postaci jest Kopernik (w interpretacji Willamowskiego).

Na scenie Teatru Narodowego utrzymuje się interesująca sztuka Jerzego Zawieyskiego p. t. „Powrót Przełęckiego”.

Prawdziwie „kasowymi” okazały się utwory Cwojdzjńskiego („Freuda teoria snów”) i Donata („Wielka miłość Kitty”). Teatry Mały i Malickiej mają dzięki tym sztukom bardzo dobry „finisz” sezonu.

Czterdzieści przedstawień przekroczyła komedia Salacrou „Wolna kobieta” (Teatr Nowy).

W krakowskim teatrze im. Słowackiego wystawiono nowy wodewil Konstantego Krutłowskiego p. t. „Jaskółka z wieży Marjackiej”. A za kanwę utworu posłużyła pamiętna chwila roku 1918, przeżywana w Krakowie, kiedy to z austriackich „kepi” zaczęły spadać „bączki”, kiedy czarny dwugłowy orzeł musiał ustąpić białemu orłowi.

Wydarzenia te stanowią, rzecz prosta, jedynie tło i pretekst do zamieszczania wesołych kupletów, do stworzenia niejako ludowej wersji historycznego przełomu. Autor daje postacię zgruba zarysowaną, starając się jednak o prostotę dialogów, przeplatanych piosenkami.

Reżyser W. Radulski starał się nade wszystko o wydobyć komizm z sytuacji. Zrytmizował groteskowo ruchy postaci, co zwłaszcza wypunktował się w scenach zbiorowych. Do pewnego stopnia reżyser przysłonił intencje autora, odnoszącego się do czegodniowych murów Krakowa nie bez sentymentu. Zresztą dla każdego Krakowiaka widowisko Radulskiego ma w sobie chwila jakąś dziwną ostrość rysunku.

Na czoło wykonawców wysunął się Leon Wyrwicz, tworząc pocieszającą figurę austriackiego pułkownika, kierującego akcją sanitarną w mieście. Zresztą wszyscy wykonawcy starali się, jak mogli, aby wydobyć ze swych ról jak najwięcej humoru i dowcipu. Siegnijmy do programu i wyliczmy choć kilka nazwisk: Szubert (generał Benigdy), Macherki (komendant fortu na Kopcu Kościuszki), Wroński (adjutant), A. Matusiakówna (Andzia, córka strażaka z wieży Marjackiej), Fa-

bisiak (strażak), J. Czechowska-Korecka (wymowna przekupka). Woźnik (prezes związku dziadów). Układ muzyczny opracował B. Wallek-Walewski, płasy — H. Bielska.

Na specjalną pochwałę zasługują pomysły dekoracje Tadeusza Orłowicza, odzwierciedlające Kraków z dużym smakiem estetycznym, choć bynajmniej nie realistycznie.

Na scenie Teatru Wielkiego w Lwowie wystawiono utwór włoskiej spółki autorskiej A. de Benedetti i W. Zorzi p. t. „Biała dama” (w przekładzie Zofji Jahimeckiej).

W sztuce tej poruszają autorzy w sposób komedjowy zagadnienie równouprawnienia męża i żony. Żona postanawia „nawrócić” niewiernego męża, odpłacając mu tą samą monetą...

Do powodzenia „Białej damy” prócz zabawnego ujęcia tych spraw przez spółkę autorską, przyczyni się staranna reżyseria J. Strachockiego oraz gra całego zespołu. Najobszerniejsze pole do popisu miał p. Słowiński w roli małżonka. Jego drugą „połową” była p. Małanowicz. Inni wykonawcy: pp. Krzywicka, Wilińska, Szrajderówna, Słopowski i Wierkowski. J. J.

## NOWE KSIĄŻKI.

Rozkoszna książka! I bardzo niebanalna: nawpół pamiętniki, nawpół utwór powieściowy. Autor posiada styl niezwykle zwarty, prosty a pełen życia. Pod jego piórem wydarzenia, jakie rozgrywały się we Lwowie przed trzydziestu mniej więcej laty nabierają rumieńców, stają się interesujące dla każdego. Tak to świątny pisarz, mówiąc o ówczesnych postaciach lwowskiego świata potrafi odmalować je w tak dodatni sposób, że czytamy „Niezapisany stan służby” jak powieść. Raz po raz przewijają się przez stronicę utworu Wasylewskiego znane osobistości, Kasprowiec, Makuszyński, Mackiewicz Kamil, Irzykowski, Grzymala-Siedlecki, Grus, trudno wyliczyć wszystkich. Okazuje się, ile wybitnych postaci przewinęło się przez przedwojenny Lwów.

Poprzestaliśmy na paru przykładach. Oto jak charakteryzuje autor jednego z „augurów” krytyki teatralnej tuż przed wielką wojną: „Ulubiencem publiczności był, rzecz prosta, Makuszyński, widny w pierwszym (a ra-

czej w drugim rzędzie) krzesel, gdyż on jeden miał przywilej stania w antrakcie, frontem do widzów którzy inkasowali skrzętnie uśmiechy Kornela. Kornel najdowiecipniej streszczał premjery, najmilej oceniał aktorów, których znów setnie rugali Adas Zagórski, lub Władek Milko...”

Wasylewski przypomina słuszną rolę jaką odegrał w latach przełomowych lwowski „Szezułek”. W tem czasopiśmie mistrz ołówka, Kamil Mackiewicz „przeszczepił na grunt polski formę dotąd niebywałą, owe tak pospolite w magazynach francuskich i angielskich wesołe dzieje jednego bohatera w szeregu obrazków”. I tak „rozpoznał się druk romansu w obrazkach pt. Ogniem i mieczem czyli przygody szalonego Grzesia... Ciężkie to były czasy. Dziś starczy wysłać list do agencji, a przysła ci ile chcesz standartowych Agapiłów Krupków i innych głuptasków. Mackiewicz musiał swego Grzesia sam urodzić, posłać do wojska, wyratować z Bolszewji, wykrcić z kryninału, zaprotegować u kanarków ożenić go wreszcie i uraczyć bliźniętami...”

Zasilał „Szezułka” sam Kasprowiec, posyłając doń swoje utwory o przejrzystych aluzjach politycznych, bynajmniej nie po myśli sfer kierujących „miarodajnych”. M. in. stworzył cykl Pieśni murzynów. Murzyn (czytaj Polak) jest niewolnikiem białych, możnych plantatorów. Kasprowiec zdołał wyjść zwycięsko z zapasów z c. k. cenzura.

J. J.



Niedziela, 4 lipca.

- 8.00 Audycja poranna.
- 9.00 Regionalna transmisja z Chelmina: a) nabożeństwo, b) reportaż.
- 11.20 Muzyka rozrywkowa (płyty).
- 12.03 „Dzień letni” — poranek muzyczny.
- 13.10 Koncert rozrywkowy.
- 15.00 Audycja dla wsi.
- 16.00 Koncert (transmisja z parku w Naleczowie).
- 17.00 „Oczepiny” — słuchowisko regionalne.
- 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
- 20.00 Piosenki greckie i bułgarskie (płyty).
- 21.00 „Pod dachami Warszawy” — Wesoła Syrena.
- 22.00 Recital skrzypcowy Szymona Goldberga.
- 22.30 Pieśni Adolfa Jesdena.

Poniedziałek, 5 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Marsze artystyczne (płyty).
- 12.40 Audycja poświęcona rzemiosłu drukarskiemu.
- 16.00 „Gdy wlecy ludzie byli mali: Mały Korsykanin”.
- 16.15 Utwory fortepjanowe na 4 ręce.
- 16.45 „Tajemniczy człowiek” — pułkownik Lawrence — feljton.
- 17.00 Koncert orkiestry Filharmonji Warszawskiej.
- 18.05 Chór Dana i orkiestra Eugenjusza Wolffa (płyty).
- 19.00 Audycja żołnierska.
- 19.40 Pływaństwo polskie na przełomie.

- 20.00 Koncert rozrywkowy.
- 21.00 Koncert w setną rocznicę urodzin Wł. Żeleńskiego.

Wtorek, 6 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
- 16.00 „Czem jest twój tatuś — pilotem linii lotniczej”.
- 16.20 Mandoliny i ksylofon (płyty).
- 16.45 „O najdziwniejszej puszczy w Polsce” — feljton.
- 17.00 Koncert w setną rocznicę urodzin Wł. Żeleńskiego.
- 18.15 Serenady instrumentalne i wokalne (płyty).
- 19.00 „Medycy i ich chorzy w krzywym zwierciadle humoru” — wesoły dialog.
- 19.15 I. audycja z cyklu „Symfonie Beethovena” (płyty).
- 20.00 Muzyka lekka i taneczna — w wyk. Ork. Wileńskiej.
- 22.00 Pieśni węgierskie w wyk. Bela Csoka.
- 22.30 Muzyka węgierska.

Środa, 7 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Koncert w wyk. Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
- 16.00 „Religijność Orzeszkowej a czas nasze” — szkic lit.
- 16.15 Pieśni śląskie Jana Gawłasa.
- 16.45 Psychologia żołnierza w literaturze polskiej — odczyt.
- 17.00 Koncert solistów.
- 17.50 „Buduję własny dom — pierwsze kroki” — feljton.
- 18.15 Oktet J. H. Squire'a i Stefan Witas (płyty).
- 19.00 Słynni dyrygenci — XII audycja — Karol Muck i Walter Straram.
- 20.00 Iluzje — koncert krakowskiego kwartetu Schrammła.
- 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Z. Rabczewicz.
- 22.00 Muzyka lekka i taneczna.

Czwartek, 8 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego. Transm. z parku Źdrojowego w Naleczowie.
- 16.15 Recital fortepianowy Olgi Lapickiej (z Krakowa).
- 16.45 „Jak zostawić mieszkanie na lato” — gawęda.
- 17.00 1000 taktów muzyki w wyk. zesp. St. Rachonia.
- 18.15 Wiązanki charakterystyczne — płyty.
- 19.00 Słuchowisko Jalu Kurka p. t. „Śpiew o Bośni”.
- 20.00 Muzyka lekka i taneczna (ze Lwowa).
- 22.00 Płyty — dla znawców.

Piątek, 9 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Orkiestra mandolinistów im. St. Moniuszki.
- 16.15 Koncert rozrywkowy.
- 16.45 Reportaż Romana Zrębowicza z Wystawy paryskiej.
- 17.00 Koncert z Ciechocinka.
- 18.10 Muzyka lekka.
- 19.00 Rapsodie Debussy'ego.
- 19.20 Recital śpiew. Eedo Karrisoo.
- 20.00 Z fali na fale — audycja w układzie St. Roya.
- 21.00 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej.
- 21.45 „Lublin” — poemat J. Czechowicza.
- 22.00 Koncert solistów.

Sobota, 10 lipca.

- 6.15 Audycja poranna.
- 12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
- 16.00 Słuchowisko dla dzieci „Wyprowa pod psem”.
- 16.30 Mniej znane uwertury.
- 17.30 Audycja konkursowa.
- 17.50 Taternik z aparatem fotograficznym — poradnika.
- 18.15 Miliza Korjus i Herbert Ernest Groh (płyty).
- 19.00 Pieśni ludowe ziemi wileńskiej.
- 20.00 „Szlakiem piosenki wielkopolskiej” — audycja dla Polaków z zagranicy.
- 21.05 Wieczór operetkowy.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarza należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.